

W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 8 (26)

Jerozolima, 16 kwietnia 1944 r.

Rok II

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

POLACY I ŻYDZI

Ostatnie dyskusje w parlamencie Wielkiej Brytanii wywołały żywy oddźwięk w prasie i opinii publicznej całego świata. Szczegóły z odpowiednim komentarzem podały nawet niemieckie rozgłośnie. Dokładna cyfra żołnierzy Żydów, którzy zażądali przeniesienia z armii polskiej do brytyjskiej, jest nieznaną. Radio pana Goebbelsa, które z wiadomych powodów należy do frontu, atakującego rząd polski w Londynie i autorytet naszych władz wojskowych, a z drugiej strony usiłuje za wszelką cenę podważyć front Zjednoczonych Narodów i wbić klin pomiędzy rząd polski a innych aliantów, podało cyfrę dwustu.

Dyskusja nad stosunkami, panującymi w Armii Polskiej, przychodzi w szczególnie niekorzystnym dla nas momencie politycznym. Oto pozostajemy pod presją żądań, które oznaczają dla nas utratę połowy terytorium Rzeczypospolitej, terytorium, zamieszkałego przez poważne odłamy mniejszości narodowych. Dyskusja ta, być może nieświadomie, być może nawet bez obcego poduszczenia, grozi podważeniem naszych praw do tych ziem. Im odważniej popatrzymy prawdzie w oczy, tym łatwiej zobaczymy istotę niebezpieczeństwa i drogi przeciwdziałania.

W Polsce żyło około trzech i pół miliona Żydów. Stanowili bardzo poważny odsetek ludności, odgrywali dużą rolę w życiu kraju. Stanowili jedną z najliczniejszych grup żydostwa, rozproszonych po całym świecie, a ich instytucje narodowe na terenie Rzeczypospolitej były wykultem swoistej i starej kultury żydowskiej, czczone i szanowane przez Żydów na całym świecie. Z terenów Rzeczypospolitej szedł największy wysiłek ideowy, zmierzający do odbudowy życia narodowego żydowskiego i własnego państwa. Tyle, jeżeli idzie o stronę żydowską. Dodac należy, że Żydzi mieszkali w Polsce od wieków. Że duży odsetek ludności żydowskiej w Polsce towarzyszy naszym przeżyciom historycznym od wczesnego średniowiecza. Upadek państwa polskiego, cofanie się kultury polskiej na Wschodzie, przeżywali Żydzi i płacili za nie stratami w tym samym

stopniu co Polacy. Wystarczy przypomnieć czasy Chmielnickiego.

Nie ma kraju i narodu, w którymby tolerancja religijna i narodowościowa miała tak piękną i dawną kartę historyczną, jak Polska. Niestety, i tu znowu, powiedzmy sobie otwarcie, w czasach Niepodległego Państwa Polskiego istniały grupy polityczne, które politykę antysemityzmu czyniły jednym z głównych narzędzi walki o władzę. Ale tradycja tolerancji, walki o wolność i prawa każdego człowieka były kanonem politycznym wielkich ugrupowań społecznych i politycznych kraju, które przez cały czas naszego bytu niepodległego walczyły z antysemityzmem. Jest to tym ważniejsze, że były to grupy polityczne młode, które jednak rozumiały ducha dziejów Polski i twardo stały przy naszych prawdziwych tradycjach narodowych. Żydzi w Polsce nigdy nie byli w tej sytuacji, by nie mieli poważnych i silnych przyjaciół Polaków. Sprawa żydowska, zwłaszcza w ostatnich latach naszego istnienia, była katalizatorem kultury, postępu, lub odwrotnie — ciemnoty i zacofania.

Katastrofa wrześniowa złączyła oba narody silniej, niż cokolwiek innego w historii ich współżycia. Polacy i Żydzi stali się bojownikami nie tylko własnego bytu narodowego, nie tylko w walce o przeżycie, ale stali się bojownikami sprawy wolności i wszystkich wartości kulturalnych, płynących z tradycji cywilizacji europejskiej. Przelana krew polska i żydowska na polach bitew, przy likwidacji ghet, w obozach koncentracyjnych, ma być wkładem w przyszłą, lepszą dolę ludzkości, wolności narodów i jednostek. To podpisane krwią serdeczną przymierze między Polakami i Żydami i wszystkimi innymi ludźmi wolnymi świata jest motorem i natchnieniem boju, który toczymy. Próby osłabienia tego przymierza są ciosami, zadanymi w lepszą przyszłość i Polaków, i Żydów.

Prawdy te tak proste, tak oczywiste, znalazły pełne zrozumienie w kierowniczych kołach polskich. Rząd Polski, najwyższe władze

wojskowe zmierzały i zmierzają do nadania tym prawdom jak największej wartości. Polityka, prowadzona przez odpowiedzialne polskie czynniki, nie ma nic wspólnego ze smutną przeszłością niektórych grup politycznych. Co więcej, wszyscy, którzy życzymy sobie zwycięstwa naszej słusznej sprawy, wiemy dobrze, że osiągnięcie naszych celów będzie połączone z jednoczesnym porzuceniem wszelkich dyskryminacji religijnych czy rasowych. Nie może być innej Polski, innej Europy, prawdziwie związanej ze swą przeszłością historyczną, jak tylko pod warunkiem spełnienia tych postulatów. Jeżeli ktoś chce sądzić Polaków wedle tego, co powiedział jakiś podoficer w Anglii, czy inni jeszcze mniej odpowiedzialni członkowie polskiego uchodźstwa, popełni błąd taki sam, jaki popełniłby człowiek, któryby próbował wytworzyć sobie opinię o istotnych zagadnieniach politycznych Wielkiej Brytanii, pytając się o zdanie lokatorów mostów londyńskich. Z tymi opiniami odpowiedzialne czynniki w Kraju i na uchodźstwie nie mają nic wspólnego.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia Stanisław Szczepanowski, wielki polski działacz społeczny i gospodarczy, tak pisał o zagadnieniach polsko-żydowskich („Nędza Galicji”, 1888, II wyd., str. 114): Są też u nas wszelkie możliwe odcienie opinii, dotyczące tego przedmiotu. Są tacy, którzy uważają Żydów za zło konieczne... Są tacy, którzy ich uważają za klęskę śmiertelną... Są też znowu tacy, a do nich należą Mickiewicz i Lelewel..., którzy obaj kosztowali gorzki chleb wygnania i we własnym otoczeniu mogli doświadczyć, wiele upodlenia niewola i prześladowanie przyniosą ze sobą, dla wszystkich jednostek najszlachetniejszego narodu — i którzy, niezrażeni niektórymi ujemnymi stronami Żydów, uważają pobyt tak licznych potomków wybranego ludu pomiędzy nami, jako wskazówkę opatrnościową, koniecznego i naturalnego sojuszu dwóch narodów, zbliżonych do siebie podobieństwem literatury proroczej i nieugiętej wytrwałości wobec bezprzykładnego prze-

W numerze:

K. Prus: Marynarka brytyjska. — J. Ducié, tłumaczyl A. Bogusławski: Z cyklu Dubrownickiego. Epitaphium dubrownickie. Pośel z Dubrownika. Wino dubrownickie. — M. Górecki: Międzynarodowa Organizacja Pracy. — W. Szymański: Problemy bałkańskie. Grecja. — I. Kejlin: Dymy nad miastem. — S. Weinberg: Damazek. — J. Laren-Lenczowski: Listy z Persji. — G. Rey: Między Polską a Persją jest Rosja. — W. Radulski: Teatr roku dwutysięcznego. — W. Broniewski: Poco żyjemy. — Fakty i komentarze. Trzy kategorie pracy. Także straty wojenne. Niewidzialny człowiek i niewidzialny program. General Wingate. Opieka nad europejskimi skarbami sztuki. — Z. Broncel: Polski stan służby. — A. Janta: Milczysz. Wiersz z Londynu. — gr.: Kiedy się skończy wojna? — ww.: Przegląd polityczny. Z teki Z. Kowalewskiego.

śladowania. Gdyby ci dwaj przewodnicy narodu byli dożyli naszych czasów, w których wszystkie te prześladowania, które w średnich wiekach były udziałem Żydów, spadają na nas, w których miliony ludzi jest pozbawionych praw obywatelskich, własności, wolnego używania własnego języka i wyznawania własnej religii, wyganianych i wydalanych z miejsca na miejsce, jak zbrodniarze, a to nie z jakiej winy osobistej, lub za jakie przestępstwa, ale skutkiem tego, że się urodzili Polakami — to by się z pewnością jeszcze bardziej utwierdzili w swoich przekonaniach.

Te sprzed pół wieku, prawie że prorocze słowa dają najlepszy obraz dzisiejszej naszej doli, pozwalają nawiązać do najważniejszej bodaj strony stosunków polsko-żydowskich w chwili dzisiejszej. Oto w kraju Polacy i Żydzi, bardzo często pod polskim dachem, w przebraniu i ukryciu, pod zmienionym nazwiskiem i z fałszywym dokumentem, spożywają wspólnie gorzki chleb okupacji i prześladowań. Pod groźbą śmierci, gdyż Żydzi wszyscy są na nią skazani, a Polakom, ich ukrywającym, grozi ona w niemniejszym stopniu, czekają na lepszą przyszłość. Nie odbieramy sensu temu wielkiemu wysiłkowi, który podejmują z nadzieją w sercu każdego dnia, nie dodawamy gorczy, przekreślając rację poświęceń i ofiar.

Wiadomości z Kraju przynoszą coraz to nowe szczegóły współżycia i współpracy, mówią o świętąch żydowskich, obchodzonych pod chrześcijańskim dachem, mówią o nadzwyczajnej postawie kleru katolickiego, o ofiarnej pomocy robotnika polskiego, o ludziach, ginących na szubienicy za pomoc, udzieloną Żydom. To jest ich ofiara i to są prawdziwe opinie narodu i warstw społecznych, mających poczucie państwowości. W stosunkach polsko-żydowskich na pewno nie jedno jest do naprawienia, nie jedno do naprostowania. Wiele przekonań i uprzedzeń trzeba zwalczyć, przełamać, ale niech to się nie dzieje wówczas, gdy służby to może nie sprawie Polaków lub Żydów, ale obcym interesom politycznym.

BENEDETTO CROCE

WOJNA JAKO IDEAL^{*}

Możnaby powiedzieć, że w dziejach historiografii pierwsze i poważne wypowiedzenie się myśli antymilitarystycznej nastąpiło wówczas, gdy (w wieku XVIII-ym) zaczęto osądzać jako nudne i nie do zniesienia książki, przepełnione opowieściami o wojnach, jako też o pertraktacjach, które je poprzedzały lub kładły im kres. Zaczęto wtedy uporczywie żądać historii innego rodzaju, która by prawdziwie odpowiadała wyższym potrzebom intelektu i ducha ludzkiego, a mianowicie historii religii, filozofii, nauki, sztuki, obyczajów i życia moralnego, jednym słowem — historii cywilizacji. Po tej linii poruszała się, postępując wciąż naprzód, historiografia nowoczesna, która ograniczyła nadmierną ilość miejsc, wyznaczonych przez pewien czas sprawom wojny; historiografia ta, nawet wtedy, gdy była mowa o wojnie, wypełniała opowieść o niej duchem, którego pozbawieni byli dawni historycy; mianowicie wiązała ją z rozwojem życia duchowego we wszystkich jego przejawach, co obniża wojnę do roli narzędzia i materialnego wyrazu ciągle wznowiającej się pracy ducha. Tedy historia wojen, w rozumieniu wojny jako gałęzi techniki, podobnie jak wszelka inna dziedzina ludzkiej działalności technicznej, jest jednym z wyrazów dziejów rozwoju ducha ludzkiego, a ściślej biorąc, historii nauki w jej poszczególnych gałęziach. Lecz wojna jako taka nie nadaje się do żadnego ujęcia historycznego, gdyż nie da się sprowadzić do jakiegś sobie właściwej kategorii lub ideału.

W istocie rzeczy jest ona gorączką, która

okresowo nawiedza ludzi i w swym przebiegu powoduje, iż jednostki i narody, niezależnie od tego, jaką reprezentują wartość i na jak wysokim poziomie stoją, walczą dla pokonania przeciwnika i zniszczenia go. Można śledzić przebieg takiego zmagania się, czy to obserwując je z odległości, czy też czytając o nim w książkach, wnosząc w to żywy udział wyobraźni i uczuciowości w stopniu nie mniejszym, a niekiedy nawet wyższym niż w czasie przedstawienia w cyrku lub walc zapasniczych czy wyświetlania obrazu kinematograficznego. W gruncie wojny sprowadzają się do jednostajnego ciągu zadawania i odbierania rąk, gdzie losowi przypada wielka rola. Wszelako wojny nie dają się wtłoczyć w żadne powiązanie historyczne, ponieważ związek przyczynowy, zarówno jak i logika i znaczenie historyczne, nie dadzą się tu wykryć, gdyż znajdują się one zupełnie gdzie indziej.

Podobnie jak w historiografii — wraz z rozwojem wyższych zainteresowań intelektualnych, wraz z postępowaniem od kronikarstwa do historyzmu, metoda opowieści przebiegu wojny została przewyciężona, znajdując wyżej wskazane rozwiązanie, — tak samo wojna osunęła się na skraj horyzontu w społeczności ludzkiej w miarę oddalania się jej od stanu dzikości i barbarzyństwa (nie wyłączając powrotnego barbarzyństwa czasu średniowiecza, kiedy to wojowanie było zjawiskiem powszechnym i codziennym). Inne bowiem sfery faktów i działań pociągały ku sobie dusze ludzkie i wojna zaczęła wydawać się stanem przewyciężonym już przez ludzkość, a wszyscy ludzie wychowani w kulturze i w zamiłowaniu do pokoju i pracy na myśl o możliwości powrotu do owych czasów doznawali uczucia wstrętu jak wobec zbrodniczego sza-

leństwa. Nie mniej jednak należy wystrzegać się niedbalstwa, należy pilnie i zazdrośnie strzec instytucji wojskowych, albowiem wewnętrzna świadomość uprzytamnia nam, że wojny nie podobna usunąć ze świata i że należy być na tę ewentualność przygotowanym, podobnie jak ma się w pogotowiu lekarzy, lekarstwa i instrumenty chirurgiczne na wypadek choroby, która zawsze może się ponowić.

W okresie naszego „risorgimento” patrzano się na wojny, prowadzone z konieczności wyzwolenia, jako na sprawy poza bytem, a upragnione Włochy zarysowywały się (jak głosi zwrotka u Tommasea) „surowe i pokorne, zbrojne i kochające”. Ten stan ducha trwał i po r. 1870 i dopiero z końcem wieku doznał pewnego zakkocenia we Włoszech, a w znacznie silniejszym stopniu w innych częściach Europy; wydano wówczas w Anglii nader mądrą książkę p. t. „Wielkie złudzenie”, która zdobyła powszechny aplauz, a wymierzona była przeciwko złowrogiej idei wojny, wielbionej przez niedoświadczonych. Gdy następnie, pomimo wszystkiego, nowa gorączka, nowa wojna, t. zw. „wojna europejska” wybuchła w kilka lat później i gdy w końcu udało się ją poskromić i ugasić, — owo uczucie wstrętu do wojny nagle powróciło u niektórych spośród większych narodów dwóch kontynentów. Odtąd wojny obawiano się jak choroby i zaprzestano głoszenia jej jako ideału.

Jak się więc stało, że pomimo osiągniętego wysokiego stopnia kultury, pomimo owego powszechnego zdrowego rozsądku — wojna w niektórych prądach intelektualnych przybrała kształt niemal że ideału, i to ideału wznieśliśmy, promiennego i upajającego, — że postawę „wojna chorobą” wyparła inna postawa —

„wojna — najwyższym zdrowiem”, — że stała walka, którą zwykło się symbolizować życie, a która jest „wojną przeciwko wojnie” czy „negacją negacji” (w terminologii filozoficznej), niestającym usprawnieniem i podnoszeniem wewnętrznej jedności i harmonii, społecznym przeciwdziałaniem mocom, usiłującym zawsze ją złamać lub przerwać, że walka ta otrzymała za treść swą to właśnie, przeciwko czemu była skierowana, że zamiast tego, by stworzyć ideał człowieka uczciwego, który chwytą za broń z obowiązku, a nie z zamiłowania do wojaczki i który w poczuciu tego obowiązku odnajduje moc, odwagę i ducha poświęcenia, — wyobraźnia ludzka nie zdobyła się na nic innego jak na stworzenie i wielbienie postaci całkiem odmiennych, o obliczu, głosie i zwyczajach żołdactwa, opętanych pożądaniem mordu i zniszczenia? Niewątpliwie ten zamęt umysłów i wyobraźni należy powiązać z tym późniejszym romantyzmem, któremu nadano nazwę dekadentyzmu, a który ignorował i deptał subtelniejsze uczucia, kaził i znieprawiał wiele czystych porządów, wnosząc w nie zarazę zmysłowości i sadyzmu.

Znieprawiał on również męską, wynikającą z poczucia obowiązku determinację walki w czasie wojny, której z konieczności domagał się bieg wydarzeń świata, przeinaczając się w występne szaleństwo podlegającego wychwalania i prowokowania wojny (w istocie miało to zrodzić choroby, które powinno się było leczyć); znieprawiał zarazem szlachetną, humanitarną i tradycyjną miłość Ojczyzny w pewien rodzaj okrutnego rozbestwienia, które od samego początku przybrało nazwę „nacionalizmu”.

Ów ideał, czy kontr-ideał prawdopodob-

^{*} Rozdział z książki „Il dissidio spirituale della Germania con l'Europa”, wydanej w Bari w lutym b. r.

nie uwiadłby, okolony murem nadętej a puste literatury, gdyby nie znalazł punktu oparcia w narodzie, zamieszkującym w środku Europy; naród ten uczynił sobie z powyższego ideału przewodnią myśl swego życia moralnego i politycznego, odrzucił to wiele czy trochę uniwersalizmu i kosmopolityzmu, które jaśniały blaskiem w jego wielkim okresie filozoficznym i poetyckim, i stał się ślepy i głuchy na istotną treść nauk ludzi tej miary, co Kant i Goethe. Byłoby niewystarczającym, co więcej, niewłaściwym wyjaśnieniem, jeśliby uzasadnienia tego faktu doszukiwać się w sytuacji Niemiec, które późno dopiąwszy się zjednoczenia i mocy, stąd płynącej — doznały nieodpartej potrzeby ekspansji i panowania, występując przeciw innym narodom, które posiadały władztwo światowe; Niemcy bowiem mogłyby poszukiwać i znaleźć zadośćuczynienie tej potrzeby na drodze polityki, a ewentualnie również i przy pomocy walki orężnej, nie mając żadnej konieczności zatruwania samych źródeł życia moralnego. To zaś wydarzyło się na skutek oparcia, jakie dekadentki romantyzm znalazł nie tylko w interesach politycznych, lecz w ideologicznych tradycjach Germanii.

Nie posiadała ona (co zawsze należy mieć w pamięci) u źródeł swych dziejów narodowych ani kultury Grecji i Rzymu, ani — chrześcijaństwa, lecz okrucieństwo i impet niszczycielski najazdów barbarzyńskich; ówczesni zaś bohaterowie Germanii byli tylko hersztami hord, a epika jej z pewnością nie opiewa pełnych ludzi epiki greckiej, rzymskiej czy nawet francuskiej, nie znajdujemy tam Achillesa, Hektora ani Eneasza, Orlanda ani

Oliviera, Andromaki, ani Lukrecji, roi się tam natomiast od chciwych morderców i prze-rażających, krwiożerczych kobiet-demonów.

W późniejszej i nowoczesnej historii Niemiec odnajdujemy najbardziej dobitny ich wyraz — w prusactwie od Krzyżaków po Fryderyka II Hohenzollerna i twórcę zjednoczenia Niemiec Bismarcka. Tehnął on w nowe Niemcy całą swą surowość, sztydlerstwo i cynizm — piętno, które następcy jego jeszcze pogłębili. Gdy te i inne podobne tradycje historyczne niemieckie stopiły się z romantycznym dekadentyzmem, wypłynął stąd bezpośrednio razim, nowa zoologiczna odmiana mitu o narodzie wybranym, „który nie kalał się obcowaniem z niewiernymi“; rzechy można, że walka, podjęta przez germanizm przeciw żydostwu w celu wytopienia go, jest tylko wyrazem zawiści i rywalizacji zawodowej, bowiem — jak wiadomo — koncepcja ta jest ściśle żydowska, poczęta była i w życie wprowadzona w czwartym wieku przed Chrystusem przez Ezdrasza, a przetrwanie jej miało tam zapewne poważniejsze podstawy.

Wszystkie te słowa cyniczne i wszeteczne okrutne, jakich we wstępie wypadło nam słuchać w ciągu obecnej wojny, wyszły z ust tego narodu, który chełpił się swym powołaniem wojowników, w pogardzie mając przeciwników, jako handlarzy; ta brutalna mowa dobrze przystosowana jest do wojny, wzniesione na piedestał ideału, która na skutek wewnętrznej logiki chętnie przyswaja sobie uczucia, postępowanie, wyobrażenia, akcenty, będące w użyciu w świecie przestępców: nie stosują tego pogardzane narody handlarzy,

których towarzyskie obyczaje nakazują nawet wśród poruszenia namiętności zachowanie odpowiedniej postawy, zwyczajów dobrego wychowania i stosowania moralnej oceny.

Jest rzeczą prawdopodobną i zgoła naturalną, że przy końcu długiej i straszliwej zgubnej wojny wznowi się dyskusja i rozważania nad sposobem ustalenia w świecie „wiecznego pokoju“ (choć byłoby już wielkim osiągnięciem, gdyby ustalono pokój choćby czasowy, lecz o pewnej trwałości, w którym wszystkie narody znalazłyby — w przybliżeniu — najlepsze możliwości bytu): pokój wieczny to wieczna utopia, gdyż zmierza on nie mniej i nie więcej, jak do pokruszenia sprężyn, poruszających życie ludzkie, którymi są cierpienia i niebezpieczeństwa. Co jednak z pewnością trzeba i można uczynić, to, korzystając z nauki doświadczenia — uprzątnąć z umysłów wszelkie resztki „wojny jako ideału“, wyrzucając je do najmniejszych koryt; wojownikowi musimy przeciwstawić mieszczanina i kupca, pouczając i tu doświadczeniem, że kupcy pod naciskiem konieczności potrafili stawić czoła wojownikom i zwyciężać, jak to widzimy obecnie i jak to zresztą wykazali już wojownikom Barbarossy nasi odlegli przodkowie z Ligi Lombardzkiej. Jednym z najbardziej dziwnych i strasznych pobążeń, jakie spłot wydarzeń mógł wywołać w łonie narodu, było to, że my, Włosi — wbrew naszej starożytnej i nowoczesnej tradycji, wręcz przeciwnie germańskiej i pruskiej, daliśmy się użyć w służbie opisanej tu polityki przez stronnictwo, któremu patronowały władze państwa i które zdołało do roli narzędzia nagiąć króla, wywodzącego swój

tytuł z plebiscytów narodowych i liberalnych. I usłyszeliśmy wtedy uroczyste napomnienie z racji tego, cośmy uczynili, wypowiedziane zawsze odrażająca dla nas mową „militarystyczną“, udzielono nam również lekcji w natchnionym tonie nauczyciela ludowego, który świeżo ją otrzymał i przyswoił sobie w sposób dogmatyczny i bezkrytyczny, a pośpiesza objawić jako głęboką i oryginalną prawdę naukową to, co w rezultacie jest banalnym głupstwem: „My nie tylko nie wierzymy w pokój wieczny, ale uważalibyśmy go za przytłumienie i zaprzeczenie podstawowej cnoty ludzkiej, która tylko w okrucieństwie walki wychodzi na światło dzienne“. Jest to tak, jak gdyby w biegu życia społeczeństwa czy jednostek można było obawiać się uszczuplenia racji cierpień i tragizmu a łącznie z tym i sposobności udowodnienia cnót ludzkich.

Lecz tu zatrzymuję się, uświadamiając sobie, iż z zaproponowanych mi rozważań teoretycznych z zakresu koncepcji historyograficznych i etycznych przeszedłem do wydarzeń i zagadnień naszego życia aktualnego, wkraczając całkowicie w dziedzinę naszych boleśnie dojmujących uczuć; odwoływanie się do nich w ramach wykładu naukowego mogłoby mieć za skutek wewnętrzne zamknięcie się w sobie.

Wszelako i ta dygresja dowodzi wielkiego znaczenia buntu, jaki się dokonał w XVIII wieku przeciwko historiom wojen, i owocności nowych metod, przyjętych wówczas przez historiografię.

Tłum. A. F.

MARYNARKA BRYTYJSKA

C. S. Forester. The Ship. London, Michael Joseph. Str. 128.

Książka, która w ciągu pięciu miesięcy doczekała się czterech wydań, zwraca uwagę choćby tym faktem. Nie podano liczby nakładu żadnego z wydań. Należy przypuszczać, że były one bardzo wysokie. Jeżeliby określić tę książkę jakimś krótkim zdaniem, to najtrafniejsze chyba będzie, że jest to książka prawdziwa. Historia jednej bitwy, wykonania jednego zadania bojowego, zachowania się w ciężkich momentach okrętu marynarki wojennej brytyjskiej, na którym maszyny, działa, mechanizm przekazujący wiadomości, myśli i uczucia, serca i mózgi poszczególnych ludzi, członków załogi lekkiego krążownika „Artemis“ działają z najwyższą sprawnością.

Mistrzowskie podejście autora do sprawy człowieka, jego uczuć i przeżyć, najzupełniej indywidualnych, zupełnie odrębnych na tle „przeżyć“ całego okrętu, który jest żywą istotą w jego opowiadaniu, stwarza zupełnie specyficzny stosunek masy i organizacji do jednostki. Każda funkcja, czy to kapitana na mostku, czy marynarza w gnieździe bocianim, czy ładowniczego w wieży działowej, strzelca przeciwlotniczego, kwatermistrza i płatnika okrętu, zwyczajnego mechanika gdzieś tam, w głębiach okrętu, jest naświetlona z punktu widzenia osobistych przeżyć, osobistych doznań, w których bitwa stanowi tylko jedno z ogniw w dotychczasowym życiu.

Książka odsłania tajemnicę, w jaki sposób powstaje taka marynarka: takie okręty i tacy ludzie, jak w British Navy. Są to ludzie prości, nieskomplikowani, zwyczajne charaktery. Może nawet nie bohaterowie. Bohaterów z nich robią uczucia sportowca, które tkwią niemal w każdym z nich, przekonanie o słuszności sprawy i związanie życia każdego z nich właśnie z wygraną w bitwie, spokój i równowaga w najcięższym nawet momencie, doskonałe planowanie i nie poleganie wyłącznie na wyobraźni, która ma ratować sytuację dopiero w ostatnim momencie. Ilekroć bowiem momentów wpływa na zwycięstwo. „Wojna jest niesłychanie logiczna, ale uchwyć wszystkie momenty logiki wojny jest bardzo trudno. Niesłychanie natomiast łatwo wyciągnąć niewłaściwe wnioski, nie posiadając wszystkich elementów rozumowania, tak samo jak w każdym innym zakresie. Czysty rachunek tonażu i działań walczących stron nie wystarczy. Nie wystarczy nawet obliczenie wyszkolenia i sprawności personelu obu stron. Są jeszcze inne czynniki: wspomnienie Matapan, Toronto, Plata, nawet wspomnienie klęski armady hiszpańskiej, albo klęską włoską pod Lissą 80 lat temu“.

To jest czynnik zewnętrzny. Czynnik wewnętrzny to dyscyplina, która stanowi taką samą część okrętu, jak działa czy turbiny. Oto jak opisuje autor załogę wieży działowej B: „Większość ich była ubrana w powalane i złachmanione ubrania, albowiem, bardzo rozsądnie, żaden z nich nie widział potrzeby wystawiania paradnych mundurów na szkołę w czasie bitwy, zwłaszcza, że większość ich wydawała sporą część swojego żołdu na utrzymanie ubrań w przyzwoitym stanie...“

Zwolennik dyscypliny dawnego typu byłby równie zdziwiony, gdyby widział, w jak swobodny sposób wykonywali oni swoje obowiązki... Nie było potrzeby zewnętrznego okazywania dyscypliny typu pruskiej gwardii. Zнали oni swoją pracę. Strzelali z dział, które obsługiwali w wielu bitwach. Wiedzieli, o co walczyli. Byli ludźmi, przyzwyczajonymi do niezależnej misji, pracującymi razem dla wspólnego celu. Nie trzeba ich było wdrażać

do bezmyślnego posłuchu, by zapewnić wykonanie tego, co im rozkazano. Dzięki zwycięstwom i tradycji zwycięskiej marynarki można było być pewnym, że ich wysiłki będą zmierzały prosto do zwycięstwa.“

To poczucie obowiązku było silniejsze niż strach. Oto co mówi autor o ludziach ze statcji przekątnikowej, która jest centrum systemu nerwowego okrętu: „Mina lub torpeda mogła trafić w ich przedział. Była także inna możliwość. Inne przedziały mogą zostać uszkodzone i wówczas okręt będzie tonął powoli. W takim wypadku obowiązkiem ich będzie pozostać na miejscu, by działa mogły strzelać do ostatka... To dyscyplina trzymała ich na miejscu“. Równocześnie zaś automatyczna reakcja na rozkaz i zachowanie, nakazane długim szkoleniem, jest także zasadniczym elementem dyscypliny. Oto oficer sygnalizacyjny tak długo i tak często w czasie pokoju i wojny odczytywał sygnały, nadawane z okrętu flagowego, że stan pogotowia był dla niego tak naturalnym, jak oddychanie. A oto scena gaszenia pożaru przez obsługę dział przeciwlotniczego, powalonego przez wybuch 15-calowego pocisku. Oszoło-

mieni marynarze leżą na ziemi: „Głos oficera podniósł ich; nie wiedząc, co czynią, wydobyli węże od pomp, jak automaty powtarzając czynności, które przez ciągłe ćwiczenia zostały wbite im w duszę.“

Od podporucznika Jerninghama, człowieka o niesłychanie wrażliwej, artystycznej naturze, który pełnił służbę obok dowódcy statcji, do głupawego marynarza Triggsa, który nie jest w stanie zrozumieć najprostszego rozkazu i może wykonać tylko bardzo nieskomplikowane czynności pod nadzorem, wszyscy są przepojeni tą dyscypliną, każdy we właściwym stopniu, jedni więcej, drudzy mniej wyrozumowaną. W momentach, w których rozum zawodzi i wydawałoby się, że instynkt życiowy podyktuje zachowanie się, sprzeczne z interesem służby, automatyzm dyscypliny zastępuje rozum i uczucie, i to pomoże wykonać obowiązek.

Elementem w tej dyscyplinie jest, jak zawsze, zaufanie do dowódcy. Oto jak widzi młody oficer kapitana statku: „Wiedział on lepiej niż ktokolwiek inny z załogi okrętu, jak mało pozornie pracy wykonywał kapitan osobiście, jeżeli idzie o zwyczajne życie ok-

reću, jak szeroko delegował swe uprawnienia i jak szczerze ufał swoim podwładnym... Częściowo było to wynikiem odwagi moralnej i zdolności szanowania swych własnych decyzji. Ale zresztą było to rezultatem urodzonych zdolności tego człowieka. Zdolność oceny była u niego tak wielka, poczucie sprawiedliwości tak dokładne, wyczucie sytuacji tak pewne, że każdy mógł na nim polegać“.

Wartość książki i jej prawdziwość polegają jeszcze i na tym, że jest to szczegółowy raport z bitwy morskiej, przeprowadzonej przez pięć lekkich krążowników brytyjskich i kilka kontrtorpedowców z dwoma pancernikami, z trzema ciężkimi krążownikami, czterema lekkimi i flotyllą kontrtorpedowców.

Akcja zaczyna się o godzinie 11.30 a kończy się o zachodzie słońca. Wedle dziennika okrętowego „Artemis“, o godz. 11.30 naloty samolotów nieprzyjacielskich ustały, jakkolwiek od czasu do czasu samoloty te widoczne były na horyzoncie. O 12.05 zauważono na horyzoncie dym, co natychmiast zasignalizowano. Wykonano poprzednio wydane rozkazy. Na horyzoncie ukazała się flota, złożona z dwóch ciężkich krążowników typu Bolzano, czterech lekkich typu Regolo i Bande Nere. O 13.10 nieprzyjacieli otworzyli ogień, poczem wycofał się, aby następnie pojawić się w sile zwiększonej o dwa pancerniki typu Vittorio i jeden krążownik typu Bolzano. Powiększono szybkość i położono zasłonę dymną, która okazała się bardzo skuteczną. Otwarto ogień i zaobserwowano trafienia, poczem wycofano się za zasłonę dymną. Następnie powrócono na poprzednią pozycję i kontynuowano skuteczny ogień. Okręt został trafiony: powstał mały pożar, który ugaszono i który nie spowodował poważniejszych szkód; okręt był nadal zdolny do akcji. Ponownie zaatakowano nieprzyjaciela, wspierając atak kontrtorpedowców. Okręt został ponownie trafiony. Pocisk nieprzyjacielski spowodował szkody, ale ogień nie doznał przerwy, tak długo, aż nieprzyjacieli wycofał się i akcja bojowa się skończyła.

Krótki ten i suchy opis, utrzymany w laconicznym stylu, ma ilustrować dramatyczną walkę kilku doskonałych pod względem sprzętu i załogi okrętów z nieprzyjacielem nie tylko liczeźniejszym, ale o kilka klas silniejszym. Pomiędzy lekkim krążownikiem, uzbrojonym w sześciocalowe działa, a pancernikiem, uzbrojonym w potężny pancierz i działa 15-calowe, zachodzi taka różnica, jak między motorówką a krążownikiem. Niemniej jednak determinacja, sprawność, planowa akcja, robią tu swoje. Zdecydowany atak kontrtorpedowców zadaje nieprzyjacielowi straty. W umysłach dowódców floty przeciwnika, działających zresztą na podstawie niezdecydowanych instrukcji, przepojonych niechęcią do niemieckiego alianta, który im samą swoją obecnością ciąży, powstaje niechęć do kontynuowania walki. Trafny pocisk, który nie wyrządza istotnych szkód, przeważa szalę. Powstaje nastrój odwrotu. Konwój sprzymierzonych kontynuuje swoją podróż na Malte.

Po obu stronach w czasie walki zachodzą te same sytuacje. Okręty jednej i drugiej strony ponoszą szkody i straty w ludziach. Materialne przyczyny wpływają na nastroje duchowe, na wolę walki.

Jak długo chociaż jedno działa strzela i okręt może się poruszać o własnej sile, tak długo nie można wypaść z boju. Straty mogą utrudnić odniesienie zwycięstwa, ale nie są powodem odwrotu.

Konrad Prus

JOVAN DUČIĆ

przełożył ANTONI BOGUSŁAWSKI

Z CYKLU DOBROWNICKIEGO

Jovan Dučić, jeden z najwybitniejszych liryków serbskich, zmarł w Ameryce, w r. 1943. Cykl niniejszy poświęcony jest Dubrownikowi (Raguzie), staremu portowi dalmatyńskiemu, który był jugosłowiańskim rywalem Wenecji. Dubrownik w ostatnich czasach był terenem ciężkich walk z okupantami niemieckimi.

EPITAPHIUM DUBROWNICKIE

Ten dom starożytny, z herbem dawnej ery, z gankiem ponad Stradun, kędy wonie blade na schyłone wiekiem sączą się szpalery — ten dom był własnością księcia Pasko Zade.

Pasko był alchemik. Uczył go nowinek słynny mistrz Vanini. Czczył Pitagorasa, znał kabałę, gwiazdy.

Łyk i szwaczki synek zdobył herb — rozumem. Księstwo dała kasa.

Mądrość — wedle kronik — żyła w nim wcielona: sto lat służył Muzom, złoto miotł w podózek. Z wstydu, blask ujrzawszy kobiecego łona, zmarł, jak owca siwy, mały jak koziołek.

Epitaphium: „Pasko Zade tu spoczywa, książę...“ Dalej: „Niebo, bądź mu miłościwe! Byli z nadzwyczajnym czelem tym za żywa każdy mąż — uczciwy, żony ich — cnotliwe“.

POSEŁ Z DUBROWNIKA

W roku tysięcznym sześćsetnym... zaiste, to wszystko jedno: tak już dawno temu...

Menčetić, poseł, w Wersalu swe listy był Ludwikowi złożył Czternastemu.

Dla posła starej Rzeczypospolitej bał najświetniejszy w Trianon wydał król — i gość tam podziwiał wielce znakomitą Moliera trupę oraz grajków Lulli.

Śliczne markizy, z pudru i sajety, w swych pantofelkach jedwabnych noc całą tańczyły lekko zwiewne menuety, a od wachlarzy ich perfumą wiało.

Gdy więc o Adrii i stanie Kościoła gość od wymownej słyszał eminencji, to myślał właśnie o czym innym zgoła: o pantofelkach — i o niczym więcej.

WINO DUBROWNICKIE

Morze migotliwe, gładkie, bez powiewu, leży nieruchomo. Tylko zwierciadlana bije gdzieś fontanna. Z laurowego krzewu patrzy marmurowe, chytne lico Pana.

Poobiadowano. Towarzystwo całe zeszło do ogrodu i w alejach ginie. Słowa są wymowne, a spojrzania — śmiało po obiedzie dobrym i po psotnym winie.

Potem się bawiono, i tak się złożyło, że się pogmatwały najdziwniej role, bo kapitan psalmy intonował z siłą, a dominikanin trącał dzwiczną wiołą.

Starsza pani Anna de Docé, już siwa, wielkiej dostojności, wielkich cnót matrona, pośród dam gromadki oczu nie zakrywa, prawiąc przypowieść im z Dekameronu.

MARIAN GÓRECKI

Międzynarodowa Organizacja Pracy

Za kilkanaście dni rozpocznie się w Filadelfii kolejna dwudziesta siódma konferencja Międzynarodowej Organizacji Pracy (MOP). Ma ona zlecone przez ostatnią konferencję, odbytą w 1941 r. w New Yorku, zajęcie się socjalną wykładnią Karty Atlantyckiej. Na odbytej w styczniu b. r. w Londynie sesji Rady Administracyjnej MOP uchwalono, że głównym punktem porządku dziennego konferencji w Filadelfii będą: „wojenne i powojenne zagadnienia socjalne Zjednoczonych Narodów”, przy czym słowa „Zjednoczonych Narodów” dodane zostały w uchwale na wniosek przedstawiciela USA, który chciał przez to podkreślić, że MOP będzie oficjalnym organem fachowym w czasie rokowań pokojowych.

MOP jest dziełem Traktatu Wersalskiego. Wtedy na skutek zgodnego nacisku, wywar- tego przez amerykańską Federation of Labor, przez Drugą Międzynarodówkę oraz przez Międzysojuszną Konferencję Spółdzielczą zmuszeni zostali autorzy traktatów do zre- dargowania w części XIII traktatu, która sta- ła się konstytucją MOP. Nie zostały wpraw- dzie zrealizowane w niej hasła dotąd aktualne, wysuwane przez Alberta Thomasa (przy współudziale Karola Gide'a), jak:—

- kontrola trustów i monopolii,
- wspólne, międzynarodowe, wielkie pla- nowanie,
- utworzenie nadrzędnego urzędu staty- stycznego celem podziału pracy i ko- operacji narodów,
- kontrola transportów towarów i su- rowców,

ale sam fakt, że na pierwszej konferencji MOP, odbytej w Waszyngtonie w 1919 r., dyrektorem Międz. Biura Pracy, stałego or- ganu MOP, został wybrany właśnie Thomas, dało jednak szansę, że MOP stać się mogła komórką, walczącą o sprawiedliwość spo- łeczną.

MOP różni się zdecydowanie od drugie- go tworu Kongresu Wersalskiego, od Ligi Narodów, przez to, że podczas gdy w Lidze spotykali się ze sobą wyłącznie przedstawi- ciele rządów, a więc była to właściwie liga rządów a nie narodów, to w MOP obok de- legatów rządowych zasiadają z równym pra- wem głosów przedstawiciele organizacji pra- cowników i przedstawicieli. W ten sposób MOP jest choć kalekim, ale w każdym razie zaczątkiem parlamentu światowego.

Rzut oka na wszystkie paliatywy organi- zacji międzysojusznich, zawiązanych w cza- sie tej wojny, jak: Rada Międzysojusznica, która zbierała się kilka razy w pałacu St. James, ale oddawna nie zasiada, Konferencja Żywnościowa w Hot Springs, Amgot, UNRRA i różne instytucje regionalne, jak Komitet Środiemnomorski, Komitet Europejski, i t.d. są bez wyjątku instytucjami autorytatywny- mi, opartymi wyłącznie o porozumienie rzą- dów, niekiedy tylko rządów najsilniejszych, a wyłącznie MOP daje dziś możliwość słabym zabrania głosu na równi z mocnymi.

Druga przyczyna, która nakazuje zwrócić baczną uwagę na MOP, to żywy udział, jaki biorą w niej Stany Zjednoczone. USA, które nie chciały wchodzić w styczność z jałową choć grząską atmosferą dyplomatyczną Ligi Narodów, nie uważały za odpowiednie absen- tować się w MOP i w 1934 r. uchwalił Kon- gres przystąpienie do tej organizacji. Odtąd Amerykanie zaczynają nadawać instytucji ton. W 1938 r. dyrektorem MOP zostaje J. G. Winant, jeden z czołowych współpra- cowników Roosevelta, który wiosną 1941 r., odchodząc na stanowisko ambasadora USA w Londynie, napisał w pożegnaniu do MOP: „Przyszłość ludzkości zależy od typu cywi- lizacji, jaki wyłoni się z tej wojny, od ro- dzaju światowych instytucji, jakie będą skon- struowane po wojnie, i od intensywności wpływu zwykłego człowieka (common man) na ich kierownictwo, od sposobu uzgodnienia politycznych ideałów z gospodarczą i społecz- ną praktyką.“ Niedawno (1 kwietnia) wice- prezydent USA, Henry Wallace, w swym przemówieniu podkreślił również dobitnie wa- gę, jaką przykładają USA do przebiegu fila- delfijskiej konferencji. Dodać warto, że w 1934 r. jednocześnie z USA do MOP przystą- pił także ZSRR, ale wystąpił z niej w grud- niu 1939 r. i nie podpisał żadnej konwencji z zakresu międzynarodowego kodeksu pracy, co zresztą nie może nikogo dziwić, kto pa- mięta, że według artykułu 12-tego Konsty- tucji Sowieckiej praca w ZSRR jest obowiąz- kiem każdego i obowiązuje konstytucyjna za- sada, że kto nie pracuje, ten nie powinien także jeść, zaś artykuły 119 i 120 oczekują dopiero na zrealizowanie.

Rozpowszechnione jest mylne mniemanie, że do zadań MOP należy tylko ochrona pra- cy, t. zw. kodeks pracy, i co najwyżej opieka społeczna. Treść powyższego oświadczenia J. G. Winanta sama przez się powinna roz- proszyć tę omyłkę. Naprawdę mamy do czy- nienia z jedną, jak na razie, instytucją mi- ędzynarodową, opartą na zasadach parlamen- tarnych. Wprawdzie te zasady przetłumaczo- ne na język konstytucji wewnętrzno-państwo- wych, przypominają zamierzchłe czasy wybo- rów kurialnych, ale też jesteśmy przecież w zakresie współpracy międzynarodowej dopie- ro na progu. Kongres pokojowy po tej woj-

nie będzie miał za zadanie znowelizować część XIII-tą Traktatu Wersalskiego, a do tej pra- cy znajdzie dość podstaw w dotychczasowych studiach i doświadczeniach MOP. Przypom- nieć warto zasadniczą treść części XIII-tej, by wskazać, że nawet ona daje ramy dość szerokie, gdyż brzmi ona w streszczeniu: „uz- nając, że pokój powszechny może być oparty tylko na podstawie sprawiedliwości społecz- nej, uznając, że istniejące warunki pracy narzucają wielkiej liczbie ludzi niesprawiedli- wość, uznając, że nieprzyjęcie przez który- kolwiek naród ustroju pracy rzeczywiście ludzkiego stanowi przeszkodę dla innych na- rodów, chcących polepszyć los pracowników w ich krajach — układające się strony posta- nawiają: utworzyć organizację stałą celem pracy nad realizacją powyższego programu“ — a dalej jeszcze: „zasadą kierowniczą powin- no być, że praca nie może być uważana po- prostu za towar lub przedmiot handlu“. Jak blisko stąd do ducha konstytucji z 1793 r., która w artykule VII-ym stwierdzała, że własność jest to tylko prawo każdego oby- watela do używania i rozporządzania częścią dóbr, która mu jest przez ustawy zagwara- towana, oraz w artykule XI-ym głosiła, że społeczeństwo jest obowiązane troszczyć się o utrzymanie wszystkich swych członków al- bo dostarczając im pracę, albo zapewniając środki utrzymania tym co nie są w stanie pracować. Wzmiankowana już mowa H. Wallace'a wyraźnie rozciąga te postulaty sprawiedliwości społecznej na skalę między- narodową, podkreślając, że w obecnych wa- runkach współzależności ogólnosiemskiej nie skuteczne być muszą wszelkie próby i usiło- wania odmierzania sprawiedliwości tylko we- wnętrż jakiegokolwiek państwa.

Dodać warto, że z Polaków w działal- ności MOP w różnych okresach między 1919 i 1939 najżywszy udział brali: Sokal, Żukaw- ski, Szydłowski, Komarnicki, Treпка oraz że Polska należy do liczby państw, które raty- fikowała i zrealizowała największą ilość kon- wencji i zaleceń, opracowanych przez MOP w zakresie ochrony pracy i opieki społecznej. Czyny udział w życiu międzynarodowym jest nieodzownym dla zdrowia narodu. Siusz- nie bowiem powiedział Jean Jaurés: „Po- wierchowny internacjonalizm oddala od oj- czyzny, głęboki przywraca do niej, powierzch- owny patriotyzm oddala od internacjona- lizmu, głęboki przywraca doń“.

Dalekim trzeba być od idealizowania obec- nego stanu ustrojowego MOP, ale stresz- czamy:

1. jest to jedyna organizacja między- narodowa oficjalna, oparta choć częściowo na reprezentacyjnych, a nie tylko dyplomatycz- nych podstawach,

2. jest ona jednocześnie oparta na pod- stawach naukowych i sterowana umiejętnie z dala od raf politycznych.

Ta druga cecha nabiera szczególnego znacze- nia, gdy rozwiązane zostały w czasie tej woj- ny robotnicze międzynarodówki, zarówno dru- ga jak trzecia, i gdy zwołany na 5 czerwca przez Waltera Citrin'a, prezesa British Union Congress, do Londynu Kongres Międzynaro- dowy Związków Zawodowych zapewne spełźnie na niczym wobec politycznych sprzeczności i zastrzeżeń ze strony potężnej American Fe- deration of Labor, która ze swym prezesem W. Green'em całą siłą angażuje się właśnie w MOP.

Dla zorientowania, się, w jakim kierunku powinna pójść reorganizacja MOP, trzeba so- bie zdać sprawę ze składu ludności ziemi.

2 miliardy 174 miliony

Liczba powyższa nie oznacza ani dola- rów, ani kartofli, lecz ilość ludzi na Ziemi według oceny na 31.XII 1938 r. Zanim się zacznie coś mówić o wspólnych sprawach tych 2.174.000.000, trzeba najpierw rozpatrzyć składniki tej liczby. Zwykle rozpoczynają od wylczenia mieszkańców wielkich imperiów światowych, a potem dopiero dodają już skąpsze informacje o reszcie szaraczków. Ta- ka metoda jest błędna. Nie może ona z wiru sprzeczności wyprowadzić na swobodne wody współzycia. Z jednej bowiem strony Karta Atlantycka przynajmniej wielkim i małym pa- ństwom równe prawa, a z drugiej strony w praktyce Big Four, a w poszczególnych re- jonach chwilowo mocniejszy — dążą do mo- nopolizowania rozstrzygnięć w swych rękach. Sprzeczność między teorią a praktyką wyni- ka z niedoskonałości teorii. Trudno się pogo- dzić z doktrynalną zasadą, aby państwa, li- czące dziesiątki i setki milionów mieszkańców, rozporządzały — jak to było w Lidze Na- rodów — takim samym głosem, jak państwa, posiadające tylko kilka milionów lub nawet paręset tysięcy. Dopóki teoria pod tym względem będzie błędna, dopóty praktyka bę- dzie obłudna i decyzje będą zapadać poza ku- lisami pseudo-demokratycznych sal obrad.

Przyjrzyjmy się najpierw liście Zjedno- czonych Narodów w takim składzie, jak wy- stępowały one na konferencji żywnościowej. Na spisie podamy państwa wyżej 15 milio- nów tłustym drukiem. Obok każdego podana jest ilość mieszkańców w milionach. Porządek państw według alfabetu francuskiego, (dodaj-

Australia	—	6,9	Boliwia	—	3,5
Kanada	—	11,3	Chiny	—	450(?)
Costa-Rica	—	0,6	Czechoslo- wacja	—	15
Rep. Domini- kańska	—	1,5	Ekwador	—	3
Salwador	—	1,5	Francja	—	42
Grecja	—	7,2	Haiti	—	2,5
Islandia	—	0,1	Iran	—	15(?)
Liberia	—	2,5	Meksyk	—	19
N.Zelandia	—	1,5	Brazylia	—	41
Polska	—	35	Columbia	—	9
Urugwaj	—	2	Egipt	—	15,9
Belgia	—	8,3	W. Brytania	—	47,7
Chili	—	4,9	Honduras	—	1
Kuba	—	4,2	Irak	—	3,5
Abisynia	—	5(?)	Filipiński	—	
Gwatemala	—	3	Common- wealth	—	16
Indie	—	388	Francia	—	8,7
Luxemburg	—	0,3	USA	—	130
Nikaragua	—	1	Jugosławia	—	15,7
Unia Pld. (Afr.)	—	9,5	ZSRR	—	170(?)
Wenezuela	—	3,5			

Liczby są wzięte z rocznika statystyczne- go Ligi Narodów na r. 1941-42. Razem mamy tu 44 państwa i ponad 1.500.000.000 (półtora miliarda) ludzi. Zróbmy kilka spostrzeżeń.

państw wystarczyłby blok małych państw z Abisynią lub Irakiem na czele, aby uzyskać

Przy zachowaniu doktrynalnej równości

większość w zgromadzeniu. Ten blok liczyłby tylko niespełna 50 milionów wobec zgórą 1450 milionów.

Chiny ze swymi 450 milionami mają te- oretycznie taki sam głos jak zosobna Costa- Rica. Islandia, Luxemburg, Panama, liczące razem niespełna półtora miliona.

Imperium Brytyjskie, liczące bez kolonii i dependencji oraz mandatów, lecz razem z Indiani, 454 miliony, posiada tylko 6 głosów (Wielka Brytania, Kanada, Nowo-Zelandia, Australia, Unia Południowo-Afrykańska, Indie).

Wreszcie małe republiki środkowo i po-

K a t e g o r i a		Ilość mil.	%% ogółu	U w a g i
I.	Państwa małe w tym: 31 państw poniżej 5 mil. 13 " " 10 " 7 " " 20 "	— — — 810 — — — 75 — — — 91 — — — 114	13%	Bez państw międzymorza europejskiego, państw indyjskich oraz państw półsuwerennych.
II.	Kolonie, terytoria zależne i mandaty w tym: brytyjskie francuskie holenderskie inne	— — — 285 — — — 75 — — — 65 — — — 70 — — — 75	13%	Z tego ponad 100 milio- nów jest obecnie pod kontrolą japońską
III.	Chiny	— — — — — 450	21%	Oceny statystyczne do- chodzą do 100 milionów różnicy. Obecnie połowa Chin jest rządzona przez projapoński rząd półn.
IV.	Indie w tym: prowincje państwa indyjskie	— — — — — 388 — — — — — 295 — — — — — 93	18%	
V.	Stany Zjednoczone	— — — — — 131	6%	
VI.	ZSRR	— — — — — 170	6%	W granicach z 1939 r., nie odliczając strat wo- jennych
VII.	Japonia	— — — — — 72	8%	W granicach etnograficz- nych
VIII.	Niemcy	— — — — — 69	3%	W granicach 1938 r. bez Austrii
IX.	Wielka Brytania	— — — — — 48	3%	Imperium Brytyjskie 515 m.
X. a)	Włochy	— — — — — 43	3%	
b)	Hiszpania	— — — — — 25		
XI.	Brazylia	— — — — — 41	2%	
XII.	Francja	— — — — — 42	2%	
XIII. a)	Polska	— — — — — 35	6%	Razem jest to międzymo- rze europejskie. Wszys- tkie państwa mają podob- ny poziom gospodarczy i kulturalny. Ludność sa- mej Polski stanowi pra- wie 2% ogółu mieszkań- ców Ziemi. Ponadto moż- na tu zaliczyć państwa bałtyckie — 5,5 mil.
b)	Balkany	— — — — — 49		
c)	Czechosłowacja	— — — — — 16		
d)	Węgry	— — — — — 14		
e)	Turecja	— — — — — 17		

Tabela ta daje wprawdzie tylko bardzo przybliżone, ale właśnie dlatego przejrzyste zorientowanie się co do trudności stworzenia parlamentu światowego. Widać z niej, że Polska nawet bez reprezentowania Federacji Międzymorza Europejskiego, ani choćby wspólnych interesów gospodarczych tego ob- szaru, złączonego strukturą rolniczą, ani choćby jego wspólnej przeszłości i teraźniej- szości kulturalnej, posiada sama 1.75% ogółu ludności ziemi. Polska, mając wysoki poziom cywilizacyjny a jednocześnie poziom gospo- darczy równy pod niektórymi względami z terytoriami najbardziej zacofanymi, jest przez te wszystkie przyczyny wyznaczona do roli rzeczniczki spraw zbliżenia międzynarodowego, rzeczniczki, który może być zrozumiałym za- równo przez upośledzone, jak i przez naj- światlejsze narody.

Struktura przyszłego ustroju międzyna-

ludniowo amerykańskie, licząc tylko te z nich, które mają poniżej 3,5 miliona, rozporządza- ją aż 14 głosami, przy czym jeszcze można do tej grupy doliczyć nieco większe państwa, jak Chili, Kuba, Kolumbia i Peru.

Każdy widzi, że coś tu nie w porządku, a pociechę stanowi tylko to, że do stołu obrad zasiadają na ogół poważni ludzie, którzy roz- sądkiem wyrównują braki regulaminu i kon- stytucji konferencyjnej. Gorzej jednak było- by, gdyby naprawdę trzeba było pobierać zbio- rową decyzję np. w przyszłości o użyciu mi- ędzynarodowej siły zbrojnej, albo choćby o wspólnych wydatkach. Dlatego też w projek- cie Mr. White'a o stworzeniu Międzynarodo- wego Funduszu Stabilizacyjnego przewidziane zostało w Radzie dla każdego kraju sto gło- sów plus jeden głos za każdy milion dolarów wpłaconego udziału, t. zn. projekt uzależnia większość od posiadania złota, dając przez to przewagę Ameryce. W projekcie znowu lorda Keynes'a jego Międzynarodowy Związek Clea- ring'owy przewiduje taki sposób organizacji Rady i t. zw. „voting power“, że zapewniony jest największy wpływ krajom Imperium Brytyjskiego.

Różne były, są i będą sposoby obchodze- nia szumnego hasła o równouprawnieniu państw wielkich i małych. Przytoczymy jesz- cze jeden. Traktat Wersalski w części XIII-ej przewidywał, że w Radzie Administracyjnej MOP na dwaście miejsc ma być stale ob- sadzonych przez państwa „dont l'importance industrielle est la plus considerable“. Można sobie wyobrazić, jak trudno zinterpretować takie określenie. To też w 1919 r. jako pań- stwa o największym znaczeniu przemysłowym wśród ówczesnych członków MOP uznano: Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię, Francję, Włochy, Belgię i Szwajcarię.

Zróbmy więc jeszcze jedną odmienną kla- syfikację 2.174 milionów ludzi.

Bez państw międzymorza europejskiego, państw indyjskich oraz państw półsuwerennych.

Z tego ponad 100 milio- nów jest obecnie pod kontrolą japońską

Oceny statystyczne do- chodzą do 100 milionów różnicy. Obecnie połowa Chin jest rządzona przez projapoński rząd półn.

W granicach z 1939 r., nie odliczając strat wo- jennych

W granicach etnograficz- nych

W granicach 1938 r. bez Austrii

Imperium Brytyjskie 515 m.

3%

3%

2%

2%

6%

Razem jest to międzymo- rze europejskie. Wszys- tkie państwa mają podob- ny poziom gospodarczy i kulturalny. Ludność sa- mej Polski stanowi pra- wie 2% ogółu mieszkań- ców Ziemi. Ponadto moż- na tu zaliczyć państwa bałtyckie — 5,5 mil.

Rodowego wymaga opracowania. Jeśli nie spełnimy w tym zakresie swego obowiązku, to będziemy winni nie tylko wobec swego narodu, ale wobec ogółu ludzi. Bez wstydu przyznaję, że nie znam dotąd śmielszego pro- jektu w tym zakresie, jak pomysł Ely Cul- bertson'a, który dzieli świat na mniej więcej jednolite federacje, o mniej więcej jedna- kowej liczebności, i dąży do stworzenia spra- wiedliwych warunków startu dla narodów zacofanych. W tych warunkach trzeba, ażeby wszyscy zrozumieli, że wszelkie wysiłki, ro- bione dla rozbicia w zarodek federacji mi- ędzymorza, mają na celu przeszkodzenie spo- kojnym rolniczym narodom tu zamieszkałym w podjęciu inicjatywy dla lepszego jutra nie tylko własnego, lecz całej Ziemi.

Wewnątrz żadnego z krajów demokra- tycznych ustawy wyborcze nie zostały już

(Dokończenie na str. 4)

WITOLD SZYMAŃSKI

PROBLEMY BAŁKAŃSKIE^{*}

GRECJA

Upadek gabinetu Tsuderosa i pośpieszny powrót króla Jerzego II z Londynu do Kairu znowu zwróciły powszechną uwagę na Grecję, dzielnie walczącą o swą niepodległość już od jesieni 1940 r. Historia bohaterskiej i zwycięskiej walki małej Grecji z faszystowskimi Włochami jest zbyt dobrze znana, by trzeba ją było powtarzać. Rezultatem kompromitacji Włoch w Albanii był najazd niemiecki i okupacja Grecji przez Niemcy, Włochy i Bułgarię, ciągnąca się od wiosny 1941 r. do chwili obecnej. Obecny kryzys polityczny jest wynikiem działalności pewnych kół politycznych w Grecji okupowanej; działalność ta, jej przyczyny i prawdopodobne skutki zrozumiane być mogą tylko w świetle pewnych faktów ze współczesnej historii Grecji.

Jerzy Clemenceau, opisując swe wrażenia z paromiesięcznej podróży do Grecji, w r. 1899 w paryskim salonie hrabiny de Noailles, powiedział, że znalazł w Grecji, na Krecie, człowieka, który był o wiele ciekawszy od wszystkich pomników starożytnej architektury. „Jest to młody prawnik, mówił Clemenceau, niejaki p. Venizelos lub Venizelos — nie pamiętam dokładnie nazwiska, lecz zapewniam panią, że za parę lat cała Europa będzie o nim mówić!” Clemenceau się nie pomylił. Rzeczywiście, nie tylko cała Europa, ale cały świat niedługo zaczął mówić o Venizelosie, życie bowiem tego człowieka z chwilą gdy w r. 1910 po raz pierwszy został premierem, stało się historią Grecji.

Działalność polityczną Eleutheriosa Venizelosa podzielić można na dwa okresy: pierwszy do wojny grecko-tureckiej w latach 1919-1922; drugi — do 1932 r., gdy głównym celem jego wysiłków było odzyskanie kraju z upadku, spowodowanego nieudaną wyprawą do Azji Mniejszej. Pierwsze kroki stawiał Venizelos na rodzimiej Krecie, gdzie wybił się na tle walki o wyzwolenie wyspy spod panowania tureckiego. Gdy Kreta po długoltnich staraniach została nareszcie przyłączona do Grecji, Venizelos wypłynął na szersze wody polityki ogólnogreckiej i wkrótce został premierem jako lider partii liberalnej. W niedługim czasie zdobył sobie olbrzymią popularność w swej ojczyźnie oraz reputację doskonałego dyplomaty zagranicą. Pierwszym jego wielkim sukcesem w dziedzinie polityki zagranicznej było zawarcie przymierza z Bułgarią oraz zmontowanie bloku grecko-bułgarsko-serbskiego w celu wyzwolenia pozostającej jeszcze pod jarzmem tureckim ludności chrześcijańskiej i ostatecznego wygnania Turków z Półwyspu Bałkańskiego. Wynikiem tego były dwie wojny t. zw. bałkańskie, z których Grecja wyszła obronną ręką, przyłączając część Macedonii z Salonikami i Kawałą. Wielka wojna zastała Venizelosa jeszcze u władzy, gotowego współpracować z Aliantami.

Jak wiadomo, Grecja nie od razu przy-

^{*}) Por. nr. 3 (21) „W Drodze” — „Problemy bałkańskie, Bułgaria” i nr. 7 (25) — „Rumunia”.

MIĘDZYNARODOWA ORGANIZACJA PRACY

(Dokończenie ze str. 3)

systemów, opartych na kurialności stanowej lub na cenzusie majątkowym, a więc najwęższa pora pomyśleć o sposobach zniesienia tych przeżytków w stosunkach międzynarodowych. Pesymiści i sceptycy powiadają — utopia, lecz przecież 90% tego, co nas otacza i co jest dla naszej myśli chlebem powszednim, było wczoraj lub onegdaj utopią.

Nie przypuszczam, żeby przedstawiciel stutysięcznej Islandii w czasie czerwcowej konferencji UNRRA okazał się nie dość świątły, aby ocenić różnicę wagi gatunkowej głosu przedstawiciela 35.000.000 obywateli Rzeczypospolitej Polski, ale niedawno ze smutkiem przeczytałem, że nawet tak wykształcony publicysta jak Walter Lippman bez skrupowania zestawia na jednej płaszczyźnie konflikty USA (131 mil.) z Boliwią (3,5 mil.) oraz ZSRR (170 mil.) z Polską (35 mil.). W tych warunkach na konferencje międzynarodowe, gdzie Islandia posiada jednego delegata, powinniśmy jeździć z prawem głosu przedstawicieli Polski w liczbie odpowiadającej poziomowi na sejm, bo każdy z posłów z Pińczowa czy z Kowla, z Nowogrodka czy Krzemienicy, reprezentuje jakieś 100 tysięcy ludności.

Na obecnej 27-ej konferencji MOP obok spraw, związanych z wojną, o których była już mowa, porządek dzienny obejmuje zagadnienia kodeksu pracy w koloniach. Zajęcie się przez MOP losem tej grupy ludności ziemi, najbardziej poubawionej dotąd głosem i opieką w skali międzynarodowej, stanowi wymowne świadectwo ciągle trwającego postępu w zakresie realizacji sprawiedliwości międzynarodowej. Projekty, wysunięte w tej dziedzinie przez Międzynarodowe Biuro Pracy, zmierzają w kierunku zapewnienia ludności kolonialnej bezpośredniego własnego przedstawicielstwa w ciałach międzynarodowych. Fakt, że państwa, posiadające kolonie, które dotąd starannie izolowały te kolonie od wglądu międzynarodowego, dopuszczają dzisiaj do postawienia tych spraw na porządku dziennym, jest najlepszym dowodem, że czas gruntowniej się zastanowić, jakie już są osiągalne realne zdobycze w zakresie społecznej sprawiedliwości w skali międzynarodowej stanowi wymowne różnice między biednymi a bogatymi narodami.

Marian Górecki

łączyła się do obozu Sprzymierzonych, a to głównie z powodu stanowczego sprzeciwu króla Konstantego i jego szefa sztabu, gen. Metaxasa, późniejszego dyktatora. Metaxas był wychowankiem słynnej Kriessakademie w Berlinie, gdzie z powodu swych wielkich zdolności został nazwany przez kolegów „der kleine Moltke”. Odnaczył się w wojnach bałkańskich i szybko zaskarbił sobie całkowite zaufanie księcia Konstantego, ówczesnego wodza naczelnego wojsk greckich, przez którego został mianowany szefem sztabu po śmierci króla Jerzego. Był on szczerze przekonany o niezwyciężoności armii niemieckiej, toteż konflikt pomiędzy nim a Venizelosem był nieunikniony. Venizelos zażądał udziału Grecji w projektowanych wówczas operacjach Aliantów we wschodniej części morza Śródziemnego. Metaxas dowodził, że operacje te są skazane z góry na niepowodzenie, i żądał zachowania zupełnej neutralności; stanowisko swe poparł podaniem się do dymisji. Działalność Metaxasa była zresztą zupełnie zgodna z wymaganiami polityki niemieckiej. Kaiser Wilhelm bowiem, wiedząc, że przystąpienie Grecji do wojny po stronie Niemiec jest niemożliwe z powodów zarówno politycznych, jak i geograficznych, dokładał wszelkich starań po temu, by Grecja została neutralna i zamknięta w ten sposób Sprzymierzonym drogę na Bałkany. Venizelos, zmuszony do ustąpienia, nie zrezygnował jednak ze swych planów i w r. 1917 doprowadził do abdykacji króla i do przystąpienia Grecji do wojny po stronie Aliantów. Popsuła wszystko nieszczerza wyprawa do Azji Mniejszej, do której premier grecki dał się nakłonić. Wynikała ona z postanowień traktatu Sevrskiego i miała gorących zwolenników nie tylko wśród Greków, marzących o odbudowie Cesarstwa Bizantyjskiego na gruzach Imperium Ottomańskiego, ale i wśród najbardziej wpływowych polityków Ententy, w osobie choćby Lloyd George'a. Nowa wojna skończyła się, jak wiadomo, zupełną klęską Grecji. Venizelos ustąpił jeszcze przed jej końcem, poniósł bowiem porażkę w wyborach 1920 r. Wyprawa na Azję Mniejszą to jedyna sprawa, która mu się nie udała w ciągu jego długiej kariery politycznej i która poważnie podważała jego autorytet oraz popularność. Wyprawa ta miała dla Grecji jak najdonioślejsze konsekwencje.

Pierwszym i najważniejszym rezultatem przegranej wojny był traktat w Lozannie, w którym obie strony postanowiły przeprowadzić wymianę ludności. Na terytorium Grecji, przeważnie w nowootrzymanej Tracji Wschodniej, mieszkało wtedy około trzyset tysięcy Turków, zaś w Azji Mniejszej — blisko półtora miliona Greków.

Przy pomocy specjalnych kredytów, udzielonych przez Ligę Narodów, przewieziono tych ludzi do ich nowych miejsc zamieszkania w ciągu dosłownie paru lat. Nawet jeśli się weźmie pod uwagę pomoc, jaką udzielono Grecji, trzeba przyznać, że samo przewiezienie, ulokowanie i zatrudnienie takiej masy ludzi w małym kraju po dopiero co skończonej pięcioletniej wojnie stanowi nadzwyczaj trudny problem. A jednak dokonano tego w stosunkowo krótkim czasie i skorzystano przy tym z okazji, by rozwiązać jeszcze jedno zagadnienie: osiedlono Greków z Anatolii również w północnej Macedonii i we wschodniej Tracji, skąd, na podstawie umowy z rządem Stambolijskiego, część ludności przesiedlono do Bułgarii. Wszystko to było możliwe dzięki inicjatywie i energii rządu i ludności oraz dzięki posiadaniu przez Grecję licznej floty handlowej. W ogólnym rachunku Grecy bardzo skorzystali na tym przesiedleniu, bo pozbyli się poważnych kłopotów politycznych, a nowa ludność, składająca się przeważnie z kupców i rzemieślników, wydatnie się przyczyniła do podniesienia ogólnej zamożności kraju. W niektórych miejscach miało to skutki całkiem nieoczekiwane. Dzieje np. błyskawicznego „wysiedlenia” kupców żydowskich z Salonik przez przybyszów z Turcji są tak ciekawe, że warto są osobnego studium. Nie chcę przez to, broń Boże, powiedzieć, że Grecy Żydów w jakikolwiek sposób prześladowali; wcale nie, Grecy tylko — okazali się lepszymi kupcami.

Problem przesiedlenia ludności był tylko jednym z wielu zagadnień i trudności, o które się potykała Grecja powojenna. Wojna miała także swe skutki czysto polityczne: niechęć Turcji, Włoch i Bułgarii i izolację na terenie międzynarodowym. Zaradzić temu miał znowu Venizelos. Z chwilą dojścia do władzy w 1928 rozpoczęła on usilne zabiegi w celu poprawienia międzynarodowego położenia Grecji. Tego samego roku zawiera pakt nieagresji i przyjaźni z Włochami i z Jugosławią; w dwa lata później dokonuje tego, co wydało się rzeczą zupełnie niemożliwą — zawiera pakt przyjaźni z Turcją. Równocześnie odbywa się z jego inicjatywy w Atenach pierwsza konferencja bałkańska, mająca na celu zacieśnienie współpracy politycznej i gospodarczej pomiędzy państwami bałkańskimi. Wtedy to zaczęły się rozmowy, które później doprowadziły do zawarcia Paktu Bałkańskiego pomiędzy Turcją, Grecją, Bułgarią i Jugosławią.

A tymczasem, życie wewnętrzno-politycz-

ne płynęło swoim trybem. W kraju istniały dwie wielkie partie polityczne: liberalna i narodowa (ludowa). Partia narodowa była bardziej konserwatywna w swoim programie, opierała się na tradycji, ostoja partii byli nieliczni już w Grecji wielcy właściciele ziemscy o wyraźnych sympatiach do ustroju monarchicznego. Partia liberalna natomiast reprezentowała interesy kupców i przemysłowców, większość jej członków wolała republikę.

Obie partie miały licznych zwolenników wśród drobnych kupców, rzemieślników i chłopów. Jak widać z powyższego, ustroj Grecji opierał się jeszcze na klasycznej budowie demokracji angielskiej z XIX stulecia. Od dość dawna już ściśle stosunki polityczne, handlowe i kulturalne pomiędzy Anglią a Grecją musiały wpłynąć na ukształtowanie się greckiego życia politycznego w pewnym określonym kierunku. Rewolucja przemysłowa i powstanie trade unionów zmieniły jednak już przed tamtą wojną oblicze polityczne Anglii: miejsce partii liberalnej zajęła Partia Pracy. Społeczeństwo greckie natomiast nie tylko nie zdołało wytworzyć niczego, choćby z daleka przypominającego angielską Partię Pracy, ale nie wydało ani partii socjalistycznej w znaczeniu kontynentalnym, ani partii chłopskiej. Rezultat tego był taki, że spora liczba ludzi o umiarkowane lewicowych poglądach trafiała do komunistów, bo nie miała się gdzie podziąć. Dopiero pod sam koniec powojennego okresu powstało stronnictwo chłopskie, ale nie mogło się już rozwinąć. Taki stan rzeczy nie wpływał, oczywiście, dodatnio na spokój w kraju. W żadnym chyba państwie europejskim nie było tyle niepokoju i zmian, co w Grecji w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Nie było ich tyle nawet w słowiańskich państwach bałkańskich, gdzie demokracja jest przecież o wiele młodsza niż w Grecji. Oto jak wyglądało greckie życie polityczne od 1920 do 1940 r.:

1922 — powtórna abdykacja króla Konstantego;

1923 — król Karol wygnany z kraju;

1924 — ogłoszenie republiki;

1925 — zamach stanu gen. Pangalosa;

1926 — ogłoszenie dyktatury Pangalosa;

1926 (sierpień) — zamach stanu gen. Jerzego Kondylisa, usunięcie Pangalosa i przywrócenie konstytucji;

1933 — nieudany zamach stanu gen. Plastirasa;

1935 — rewolucja stronników Venizelosa, walczących z tendencjami monarchistycznymi rządu, stłumiona przez gen. Kondylisa; ucieczka Venizelosa do Francji;

1935 (październik) — zamach stanu gen. Kondylisa;

1935 (grudzień) — powrót króla Jerzego II;

1936 — zamach stanu i wprowadzenie dyktatury gen. Metaxasa;

1938 — stłumione powstanie na Krecie.

Były jeszcze poza tym mniejsze, nieudane zamachy stanu i bunt, ale o nich nie warto mówić.

Gen. Metaxas został dyktatorem, by — jak sam mówił — uchronić Grecję od niebezpieczeństwa bolszewizmu. Zorganizowanie, a raczej zdeorganizowanie kraju na sposób faszystowski nie przedstawiało po tylu światowych przykładach zagranicą żadnej, oczywiście, trudności. System totalistyczny został więc wprowadzony ze wszystkimi szczegółami: cenzura prasy, skoszarowanie młodzieży, deportacje na wyspy bez sądu i bez wyroku, rozpadzenie partii politycznych i parlamentu, słowem, tak samo, jak we wszystkich innych przyzwolonych państwach faszystowskich. Szczególnie nie lubił Metaxas komunistów i w ogóle lewicowców. Sytuacja komunistów w Grecji była bardzo dziwna. Byli niby oficjalnie uznani jako partia polityczna i mieli prawo wybierać swych posłów do parlamentu; jednocześnie jednak, na mocy postanowień t.zw. komitetów bezpieczeństwa, ustanowionych jeszcze przez Pangalosa w 1924 r., narażeni byli na aresztowania i różnego rodzaju nieprzyjemności, do deportacji włącznie. Podczas całego powojennego okresu komuniści byli ciągle molestowani, a czasem jak np. za rządów Pangalosa i Metaxasa, tępieni z całą bezwzględnością. Wskutek tego znaczna część roboty politycznej prowadzili nielegalnie i byli świetnie zorganizowani. Metaxas, powszechnie nielubiany, prześladował komunistów, przyczynił się wydatnie do wyrobienia im całkiem niezasłużonej popularności i do usprawnienia ich organizacji. Sekretarzem partii komunistycznej był przez długie lata niejaki Zachariadis, zdolny i energiczny człowiek, który stał się sławny przez to, że kilkakrotnie uciekał z więzienia. Kierowana przez niego partia rozrosła się i od roku 1932 zaczęła konsekwentnie stosować politykę zjednoczenia pod swoim kierownictwem wszystkich elementów lewicowych w państwie. Wpływy komunistów były znaczne w Tessalii, — miasta Volos, Pelion, Larissa, — częściowo w Macedonii, np. w miastach Kawała i Seres, i zwłaszcza w Atenach. Do parlamentu komuniści wybierali czasem do 10% ogólnej liczby posłów. Zachariadis został aresztowa-

ny na rozkaz Metaxasa w 1936 r. i przesiedlony do więzienia aż do wojny; teraz podobno znajduje się w niemieckim więzieniu w Wiedniu.

Gdy przyszła wojna z Włochami, Metaxas okazał się jednak nie tylko świetnym dowódcą, lecz i dobrym patriotą. Oto co mówi o nim Demetrios Kaklamanos, przeciwnik polityczny dyktatora, długoletni poseł grecki w Londynie: „Nieprawdą jest, jakoby dyktatura, która odebrała narodowi greckiemu wszystkie jego swobody obywatelskie, zjednoczyła naród. Wprost przeciwnie. To, co zjednoczyło naród z Metaxasem, to był najazd Mussoliniego oraz śmiała, patriotyczna i mądra postawa Metaxasa w obliczu niebezpieczeństwa, grożącego Grecji..... Gdy p. Jan Metaxas, jak lubił by go nazywano, odrzucił ultimatum włoskie rano pamiętnego 28-go października — stał się bohaterem narodowym. Nie zawaham się powiedzieć, że wszedł on do historii jako szczerzy patriota grecki, dobry Europejczyk i wielki strateg”. (Contemporary Review, marzec 1941).

Gdy po najeździe niemieckim rozpadła się armia oraz wszystkie organizacje, stworzone przez Metaxasa, komuniści, mający długoletnie doświadczenie w konspiracji, pierwsi podjęli walkę z okupantem. Już na jesieni 1941 r. stworzono z ich inicjatywy Front Oswobodzenia Grecji, EAM (Ellinikós Apeleutherotikós Métopos). Program działania EAM da się streścić w sposób następujący: 1. współpraca w walce z najeżdzącą wszystkich Greków bez względu na przynależność partyjną; 2. oswobodzenie Grecji; 3. wszystkie sprawy, dotyczące przyszłego ustroju państwa, mają być rozstrzygnięte po wojnie. EAM stworzył t. zw. Ludową Armie Oswobodzenia, ELAS (Ellinikós Laikós Apeleutherotikós Strátos), która już od dwóch lat prowadzi walkę podjazdową z Niemcami. Naprzekór zastrzeżeniu o jego twórców, EAM nie jest niczym innym, jak tylko próbą stworzenia organizacji, znanej w polityce przedwojennej pod nazwą „Frontu Ludowego” i mającej obok głównego celu, walki z Niemcami i z Bułgarami, bardzo wyraźne poglądy i cele w dziedzinie polityki wewnętrznej. Na tym tle w końcu 1942 r. doszło do powstania rywalizującej organizacji wojskowo-politycznej, EDES, pod kierownictwem płk. Napoleona Zervasa, w której skład wchodził prawicowiec i ludzie niezadowoleni z antymonarchistycznych tendencji EAMu. Powstały jeszcze inne, mniejsze grupy. Rozbicie frontu patriotycznego na kilka zwalczających się frakcji doszło, oczywiście, do skutku nie bez czynnej pomocy Niemców. Sytuacja taka trwała przez czas dłuższy, dając powód do najbardziej pesymistycznych wniosków na przyszłość. EAM zajął wyraźnie negatywne stanowisko wobec króla Jerzego II i rządu greckiego. Działali tu obok innych przyczyn niewątpliwie także i reminiscencje z okresu przedwojennego, stosunek bowiem większości narodu do reżimu Metaxasa wyraża się w całości dwoma słowami: never again.

Dzięki wysiłkom rządu angielskiego i ustepliwości emigracyjnych polityków doszło jednak do porozumienia. W grudniu ub. r. rząd grecki oświadczył za zgodą króla, że kwestia ustroju państwa i powrotu króla będzie rozstrzygnięta plebiscytem całego narodu po wojnie. Miesiąc temu doszło do ugody między poszczególnymi organizacjami greckimi i do ustalenia wspólnego planu działania. Obecnie, jak podało BBC, stworzono w Grecji rząd tymczasowy w następującym składzie:

premier i minister spraw zagranicznych — płk. Bakirdzis, umiarkowany socjalista;

minister wojny — gen. Mandakas, poprzednio członek partii liberalnej Venizelosa, obecnie przywódca partyzantów na Krecie;

sprawy wewnętrzne i opieka społeczna — Sandos, pełniący funkcje sekretarza partii komunistycznej;

sprawiedliwość — Tsirimokis, profesor uniwersytetu, należący do grupy socjalistów prof. Svolosa;

rolnictwo — Gabrilidis, członek stronnictwa chłopskiego.

Gabinet ten można określić jako socjalistyczny. Komuniści nie są reprezentowani w stosunku do swych rzeczywistych wpływów, które są dość wielkie. W chwili obecnej wpływy te tłumaczą się silnym stanowiskiem komunistów jeszcze w początkowym okresie okupacji i rolą, jaką wskutek tego odegrali. Najbardziej znanym jest udział w rządzie płk. Bakirdzisa, mającego w Grecji autorytet z powodu swej nieposzlakowanej przeszłości i bezkompromisowej uczciwości, szczerego demokrata i jednego z najdodolniejszych oficerów armii greckiej. Jego obecne stanowisko i rola, jaką odgrywa w EAM, pozwalają żywić nadzieję, że z czasem dojdzie do stworzenia tego, czego tak bardzo Grecji brakowało w ciągu ostatnich lat dwudziestu: silnej, prawdziwej demokratycznej, umiarkowanej lewicowej partii politycznej.

O współpracującym z Niemcami „rządzie” Rhallysa w Atenach nie będę mówił. Jest to temat, który na pewno nikogo nie interesuje**).

***) W artykule o Rumunii, drukowanym w poprzednim numerze „W Drodze”, zasłał pomysł: król Karol II wrócił z wygnania w r. 1930, a nie w 1936.

IRENA KEJLIN

DYMY NAD MIASTEM*)

Czym mają kierować się urbanisci, projektując miasto przyszłości? Nasuwa się niesłychana ilość zagadnień, z których każde zdaje się w swej ważności przerastać inne. Komunikacja, kanalizacja, elektryfikacja, warunki zdrowotne, względy strategiczne, reprezentacyjne, czy nawet... dowóz nabrań i wywóz śmieci. Zadaniem urbanisty jest powiązać wszystkie te zagadnienia w jedną całość i podporządkować je jednemu celowi: dobru człowieka.

W poprzednim artykule poruszyliśmy sprawy ogólne, związane z samym istnieniem miasta, teraz przyjrzyjmy się bliżej elementom, z jakich miasto się składa, to jest jego zabudowaniom, ulicom, i zieleńcom.

Słońca! Powietrza! Zieleni!

Wojają wszyscy. Osiągnąć to można łatwo, prostymi sposobami. Aby uzyskać nasłonecznienie wszystkich mieszkań na wszystkich piętach, trzeba budować bloki domów mieszkalnych równoległe do siebie i odpowiednio szeroko je rozstawić. To znaczy, trzeba ustalić stosunek dopuszczalnej wysokości domów do rozstawu między nimi, zależnie od kąta padania promieni słonecznych. Nie wolno posiekać przestrzeni wolnej oficynami, któreby rzuciły cień na ściany domów i wydzielały sepsne podwórka z kilkoma nędznymi akcjami, dogorywającymi pod murkiem.

Całą tę niezabudowaną przestrzeń trzeba wykorzystać na ogródki i zieleńce. Powietrze będzie wtedy krążyło swobodnie między blokami. Przy tym mieszkania winne być rozplanowane tak, aby mogły być przewietrzane naprzeciwą. Dla bojących się przeciągów dostateczną chyba rekompensatą jest możliwość wywiania zapachu kapusty i kalafioru w przeciagu kilku minut.

Blokowy typ zabudowy rozpowszechnił się w całej Europie w okresie międzywojennym, szczególnie zaś w budownictwie spółdzielczym. Zbudowano w ten sposób nowe dzielnice Wiednia, osiedla robotnicze w Niemczech, Czechach i Polsce.

„My home — my castle”

Także i w Anglii architekci ostatnio lansują system blokowy, t. zw. „kontynentalny”, zwalczając zakorzenione w Anglii od stuleci zamiłowanie do domków jednorodzinnych. Zabudowa niskimi, wolno stojącymi domkami zwiększa niepomniernie przestrzeń i podnosi niepotrzebnie koszt inwestycji miejskich. Uniemożliwia korzystanie z centralnego ogrzewania, ciepłej wody i wielu innych urządzeń, jakie dostępne są dla mieszkańców domów blokowych.

A daje w zamian: złudzenie odseparowania się i maleńki ogródek, pochłaniający cały wolny czas „pana domu”, który się staje stopniowo jego niewolnikiem. Zwolennicy domów blokowych występują nawet z hasłem... populacyjnym: „kobieta angielska poświęca całą swą energię i czas na dom i ogród. Dajcie jej nieduże mieszkanie, wyposażone we wszelkie zdobycze techniki — a zwiększy się przyrost naturalny”. Tego rodzaju argumenty są i śmieszne i niedorzeczne. Jak dotychczas, Anglię przed wyludnieniem ratują kobiety, mieszkające w „slumsach” i pracujące w fabrykach, a nie mieszkanki nowoczesnych „flatów”.

Miasto pionowe

Lecz te dwa typy domów nie wyczerpują bynajmniej wszystkich możliwości. Genialny architekt Le Corbusier projektuje niebotyczne drapacze chmur, z których każdy mógłby zmieścić 20 lub 30 tysięcy ludzi. To znaczy, że w dwudziestu takich niebotykach mogłoby mieszkać półmilionowa ludność. Ołbrzymie oddalenie wieżowców od siebie zapewni im doskonały dostęp słońca i powietrza, tak że nie powinny nam nasuwać na myśl imponujących lecz sepsnych kaniów Manhattanu. W projektach corbusierowskich wieżowce te stoją wśród zieleni, parków i ogrodów, ukształtowanych zupełnie dowolnie. Ulica bowiem znikła (to jest znana nam, obudowana domami ulica). Zastąpiła ją droga parkowa, a cała komunikacja przeniosła się pod ziemię.

Niebotyk, mieszczący w sobie jakieś 25 tysięcy mieszkańców — byłby sam już całym miastem, tyle że rozmieszczonym pionowo. A ludzie jakoś dotychczas lubią poruszać się w płaszczyznach poziomych. Poza tym ogromne niebezpieczeństwo w razie pożaru, wojny, wybuchu epidemii, przerwania prądu elektrycznego lub nagłego braku obsługi dźwięgów — są to wady, które trudno zrekomensować nielicznymi zaletami tego typu budowy.

Nie mówiąc już o tym, że miasto takie nie odpowiadałoby żadnej właściwie kategorii uosobień ludzkich: zwolennicy małych miasteczek woliliby zieleni, zagładającą przez okno parterowego domku, niż oglądając „z lotu ptaka”. A wielbiciele wielkich miast zrezygnowaliby chętnie z upojnej wysokości swego apartamentu, aby tylko móc się z niego wydostać na prawdziwą, ruchliwą, obudowaną ulicę.

Korytarz czy wstęga

„Trójwymiarowa, korytarzowa ulica jest przeżytkiem! Powinny ją zastąpić dwuwymiarowe wstęgi komunikacyjne (czyli po prostu: drogi), prowadzone w ukształtowanej dowolnie przestrzeni parkowej”, — głosił Le Corbusier. Hasło Le Corbusiera: „skończmy z kultem ulicy!” zostało podjęte entuzjastycznie przez architektów i, co gorsza, przyjęło się powszechnie. „Ulica nie jest celem samym w sobie, powinna służyć jedynie dla komunikacji”.

Architekci odrzucili co prawda corbusierowskie niebotyki, ale stawiają domy blokowe lub jednorodzinne całkowicie niezależnie od kierunku ulicy, kierując się wyłącznie orientacją słoneczną. To znaczy, że do ulicy przytykają przeważnie ściany szczytowe domów, równoległe do niej, lub nawet skośnie — a w każdym razie w dużych od siebie odstępach.

Rozpowszechnienie w ostatnich latach tego typu zabudowy w całej Europie, od Włoch po Finlandię, jest dowodem, że spełnia ono większość postulatów, jakie stawia się budownictwu mieszkalnemu.

Zwolennicy tego kierunku niepotrzebnie jednak wysuwają argumenty z dziedziny estetyki: że ściany szczytowe bloków, rytmicznie ustawione, dają piękne perspektywiczne zamknięcie ulicy. Że zieleni w przerwach między domami stwarza pożądaną odprężkę dla wzroku. Że ulica o zabudowie przerywanej nie jest tak nudna, jak korytarzowa, że jednym słowem — jest ładniejsza.

Niestety, nie jest ładniejsza, jest nawet bardzo brzydka. Jest to znowu zbyt silna reakcja na ponurą beznadziejność ulicy XIX wieku.

I znowu wspomniany w poprzednim artykule architekt Sharp, jeden z nielicznych obrońców miasta, wyciąga szpadę w obronie ulicy: „Oderwanie domów od siebie nie obroni ulicy od niebezpieczeństwa brzydoty, przeciwnie, niebezpieczeństwo to stanie się całkiem pewne, gdyż dotychczas jeszcze element niepokojący... „Ulica jest wnętrzem, postaramy się, aby była pięknym wnętrzem. Jeśli zamknijemy ją ścianą ładnych domów, szarmonizowanych ze sobą, o drobnych różnicach motywów, które zmieniać się będą, gdy przestaną zatrzymywać na sobie wzrok — osiągniemy to samo piękno ulic, jakie podziwiamy w renesansowej Florencji czy w barokowych dzielnicach Paryża”.

„Wiek transportu”

Ulica spełnia wiele zadań. Stanowi przejście dla pieszych, umożliwia dostęp do domów, czasem bywa aleją spacerową lub też arterią komunikacyjną, obsługującą ruch dalekobieżny. Nie należy wszystkich ulic traktować jednakowo. Ulice mieszkalne nie powinny być szerokie. Czasem nawet wystarczy tylko przejście dla pieszych. Powierzchnia, zabrana przez jezdnię i chodnik, jest powierzchni całkowicie straconą, a więc lepiej ją wykorzystać na ogródki przed domami.

Odrębny problem nasuwają ulice śródmiejskie. W wielkich miastach, szczególnie w porze powrotu z pracy, ruch pieszy ma zdecydowaną przewagę szybkości nad pojazdami mechanicznymi.

Urbanisci wysuwają mnóstwo fantastycznych projektów rozwiązania komunikacji w wielkich miastach. Chodniki i przejścia dla pieszych w formie balkonów i mostków na pierwszym piętrze domów; jezdnie w wykopach, a chodniki połączone mostkami, lub — o zgrozo! — ruch pieszy pod ziemią, — to tylko część projektów, odnoszących się, na szczęście, jedynie do nielicznych arterii megalopolisu.

Niektórzy nazywają wiek XX pięknie brzmiącym określeniem: „wiek transportu”. I rzeczywiście, potencjalne możliwości komunikacji są olbrzymie. Ale jak to narazie wygląda w praktyce?

Mała to pociecha, że w jedną godzinę moglibyśmy przebyć przestrzeń z Londynu do Paryża, jeśli właśnie tę godzinę musimy spędzić codziennie w ogonkach do kasy, w kolei podziemnej i podmiejskiej — aby się dostać do domu. Nie upajamy się możliwościami transportu! Nie jest on celem samym w sobie! Mieszkaniec przedmieść Londynu traci dwie godziny dziennie i 10% swego zarobku na komunikację z miejscem pracy. 10% mieszkańców Londynu żyje z tego, że obwozi pozostałą ludność. Cóż to za straszliwe marnotrawstwo społeczne.

Nie wiele pomoże jednak samo usprawnienie komunikacji. Trzeba rozplanować miasto tak, aby odległość od miejsc pracy, szkół, ogrodów i miejsc rozrywkowych nie była zbyt duża.

„Dymy nad miastem”

Mało przyjdzie mieszkańcom nowoczesnych domów mieszkalnych z wiatru, hulającego swobodnie między nimi, jeśli przyniesie on ze sobą dymy i wyziewy z pobliskich fabryk. Łódź czy Dąbrowa Górnicza nie dlatego są tak potworne, że posiadają zakłady przemysłowe, lecz dlatego, że się wśród fabryk mieszka. A nieodłącznymi objawami wielu procesów produkcji są sadze, dym, wyziewy, ścieki i hałaśliwe transporty.

Należy więc całkowicie wydzielić dzielnicę przemysłową i odizolować ją od reszty

miasta szerokim, nienaruszalnym pasem zieleni. Poza tym należy ją odpowiednio umieścić, a mianowicie „pod wiatr”.

Przykład zgubnych skutków zaniedbania tej ostrożności możemy zaobserwować w Palestynie, gdzie wiatr wieje z konsekwentnym uporem stale z zachodu. Wybudowano tu z dala od osiedli ludzkich garbarnie, której wyziewy zatrzuwają kilometry całej przestrzeni, leżących na wschód od niej. Co gorsza, wiatr zachodni natrafia po drodze na wielki szpital dla chorych. Dla chorych jedyne chwile wytchnienia od tego wszystko przenikającego odoru — to dni hamsinów, kiedy wieje wschodni, pustynny wiatr.

W większych miastach następuje dalszy podział: na dzielnicę mieszkalną i centrum handlowo-administracyjne. Ale podział ten nie może być zbyt ścisły. Dzielnice mieszkalne nie powinny spaść do roli „sypialni miasta”, jedynej roli, jaką spełniają dziś niezliczone przedmieścia, nie zaspokajające poza tym żadnych potrzeb mieszkańców. Każda dzielnica mieszkalna musi mieć swoje centra zaopatrywania, obsługujące ją budynki administracyjne, a przede wszystkim szkoły i tereny zabawowe dla dzieci.

Gród

Domy, ulice, dzielnice — jest to tworzywo, elementy, z których składa się organizm miejski. Jak go ukształtować, jaką formę mu nadać, jak ująć w karby rozlewiska przedmieść, gdzie i jak postawić granicę miasta — oto najtrudniejsze zagadnienie, stojące przed urbanistami.

Dawniej było to proste. Każde miasto było twierdzą. Każde było opasane wstęgą murów, zamknięte klamrami bram, przylotne do stóp góry zamkowej, lub oparte plecami o rzekę. Istnienie murów było przez wieki jednym z najważniejszych czynników, jakie wpływały na układ miasta. Ograniczały one jego wielkość i wpływały na jego kształt. Budowniczowie miejscy dążyli do uzyskania najmniejszego obwodu przy jak największej powierzchni, a więc miasta przybierały kształt, zbliżony do koła.

Poza tym mury oddziaływały na decyzje i nieodwołalnie miasto od otaczającego je krajobrazu. Zieleni wiejska podchodziła pod same mury miasta — nie przenikając doń jednak. A z drugiej strony, najbliższe murów ulice nie nosiły bynajmniej charakteru przedmieść. Przeciwnie, były nieraz bardziej wielkomiejskie niż rynek — na którym odbywały się targi. Ogrodów w mieście nie było. Bo i szkoda było drogiej, ograniczonej murami powierzchni, i do łaki, leżącej tuż za bramą, nie było daleko. W nocy zaś wartownicy zamkali bramy miejskie na klucze i senne miasto pogrążało się w całkowitej „splendid isolation” od otaczającego je świata.

Odkąd mury straciły swe znaczenie obronne, zmienił się także układ i kształt miasta. Rozpełzły się przedmieścia, miasto powysuwało swe macki we wszystkich kierunkach i zatarła się granica fizyczna i pojęciowa między wsią a miastem na jego peryferiach. Dziś usiłujemy ten bezwładny rozwój miasta ująć w jakieś karby i szukamy najidealniejszego kształtu dla miast przyszłości.

Miasto-wstęga

Czasem wynikiem tych poszukiwań są tak dziwne i niekonsekwentne twory, jak „miasto linearne”, lub „miasto-wstęga” — po raz pierwszy objawione światu przez hiszpańskiego inżyniera Arturo Sona Mata. Jak sama nazwa wskazuje, miasto linearne posiada jeden tylko właściwy wymiar: długość. Jest niekończącym się taśmiecem, podzielonym na trzy wzdłużne pasma dzielnic (mieszkalnej, administracyjnej i przemysłowej), ciągnącym się wzdłuż dróg komunikacyjnych.

W r. 1895 zostały wybudowane pod Madrytem pierwsze 3 km. takiej wstęgi, która powinna jednak była według przewidywań inż. Maty obrastać dalej hiszpańskie drogi i rozprzestrzenić się jak grzybnia po całym kraju. Myśl ta została podjęta przez urbanistów sowieckich, ale na szczęście, pozostała w sferze marzeń i snów.

System ten nie neguje co prawda miasta, jak projekty wellsowskie, ale prowadzi z żelazną konsekwencją do tej samej nudy. Idea „strumieni ludzkich osiedli, budowanych wzdłuż dróg”, jakkolwiek „zdrowo” podzielnym na dzielnice, uraga jednak najprymitywniejszym pojęciom o mieście. Miasto-wstęga, pozbawione ośrodka, wyprane z wszelkiego charakteru, o nudnej, zawsze wzdłużnej komunikacji, przetrnięte szosą o znaczeniu przelotowym, tranzytowym — upodobiłoby się do wielkiej wsi przydrożnej.

Miasto-ośmiornica

Wielokierunkowym jakby rozwinieciem systemu pasmowego jest układ promieniowy. Slogany młodego pokolenia architektów: „pas zieleni”, otaczający miasto, i „kliny zieleni”, wrzynające się głęboko do jego środka, są od dawna powtarzane (choć nie zawsze zrozumiane) przez wszystkich. Miasto, poprzeryzane klinami, w kształcie swym przypomina ośmiornicę, której głową jest centrum handlowo-administracyjne, ramionami zaś — dzielnice mieszkalne.

Układ ten dałyby się zastosować nie tylko do budowy miast nowych, ale także i dla dalszej rozbudowy niedużych miast istniejących, które stanowiłyby jądro dla nowych dzielnic.

Hasła te (których głosicielem w Polsce był prof. Tołwiński) podjęte są obecnie przez większość urbanistów angielskich. „Zieleni ma przenikać całe miasto! Parki, ogrody, ogródki działkowe, a nawet i sady i ogrody warzywne — wrzynać się powinny głęboko aż do centrum miasta, przynosząc ze sobą ożywczy powiew wsi i lasów, z których biorą początek!” — głoszą przedstawiciele tego kierunku. Idea „klinów zielonych”, jedno z dziesięciorga przykazań architektów młodego pokolenia, nie została jak dotąd zrealizowana. Tymczasem już znaleźli się poważni jej przeciwnicy.

„Zieleni uczesana”

Jednym z najzawziętszych przeciwników jest architekt Thomas Sharp: „Pocóż wprowadzać imitację wsi do miasta? Ograniczmy raczej rozmiar miasta tak, aby jego mieszkańcy mieli łatwy dostęp do prawdziwej wsi!” Nieuporządkowana, „nieuczesa” zieleni wiejska będzie raziła na tle zabudowań miejskich. Zieleni w samym mieście powinna być skomponowana w parki, ogrody i zieleńce, rozsiane po całym obszarze miejskim i połączone zadrzewionymi i ukwieconymi alejami.

Dwuwymiarowość wolnej przestrzeni ogrodu wywołuje pożądaną odprężenie i stwarza dość silny kontrast z trójwymiarowością ulic miejskich. Dostatecznym zmniejszeniem surowości geometrycznych brył zabudowań jest kształt drzewa, a dostatecznym rozjaśnieniem szarzyzny murów — jego kolor. Nie trzeba uciekać się do sztucznej sielankowości sadów i ogródków warzywnych. Organizm miejski nie strawi obcych sobie elementów.

Samoródtwo piękna

Le Corbusier był pierwszym głosicielem niebezpiecznej idei samoródtwa piękna. Że niby nowoczesny hangar, żelbetonowa hala fabryczna, samolot czy samochód są piękne i estetyczne dlatego tylko, że spełniają wszelkie wymagania konstrukcji i użyteczności. Zresztą Le Corbusier w swoich budynkach nagał często stronę użytkową czy komunikacyjną dla zadośćuczynienia swoim kanonom estetycznym.

Pogląd, że piękno powstaje samo przez się z konstrukcji i użyteczności, tak jak alkohol z cukru, bakterii i ciepła, pokutuje do dziś w architekturze i urbanistyce. Co prawda, nawet Norwid napisał:

„...Ze użyteczne, nigdy nie jest samo, że piękne wchodzi, nie pytając, bramą”.

Ale tak nie jest nigdy i nigdy tak nie było. Są to konieczne, ale niewystarczające warunki dla powstania piękna. Domy i miasta greckie lub średniowieczne odpowiadały ówczesnym możliwościom technicznym i były idealnie celowe. Ale piękne są nie tylko dlatego, ale dlatego, że piękna poszukiwano.

Na razie wybudowane nowe miasta czy dzielnice są wyprane z wszelkiego wyrazu. Urbanistyka, zajęta wyłącznie liniami zabudowy, przedogródkami, komunikacją i jeszcze raz komunikacją — zapomniiała o architekturze. Miasto dla życia, przywiązywania się, oglądania i pokazywania przestało istnieć. Gdy zwiedzamy jakieś miasto, oglądamy niemal że tylko stare jego części: stary rynek renesansowy, park, będący pozostałością po książęcej rezydencji, czy plac barokowy. Zwiedzamy je nie tylko z zamiłowania do zabytków i patyny czasu, ale dlatego, że są to rzeczy nieprzemijające piękne.

Domy jak domy — zawsze były w każdym poszczególnym okresie podobne do siebie i stanowiły tylko ściany ulic. Ale ulice były zakładane z myślą o perspektywie na jaką się otwierały, place miały wyszukane proporcje, budynki użyteczności publicznej były stawiane jak najkorzystniej, budowane jak najprędzej i stanowiły dumę mieszkańca miasta.

Sieć ulic miast nowoczesnych albo stanowi nieznosną, geometryczną szachownicę na wzór amerykański, albo założona jest wymyślnie w desenie, pięknie wyglądające na planie. A przecież rzadko spędzamy czas, krążąc w aeroplanie nad miastem i podziwiając symetrię jego planu. Miasto jest trójwymiarowe i to tylko powinno stanowić całość kompozycyjną, co się da naraz objąć wzrokiem.

Stawiamy gmachy użyteczności publicznej. Ale wiskamy nasze sady, ministerstwa czy nawet kościoły pomiędzy domy czynszowe na wąskich ulicach. Traktujemy ich fasady mniej więcej jak kamizelkę: na elewacji frontowej — marmur, od podwórza — skromny tynek-podszewka, a nawet i boków nie potrzeba, bo sąsiedzi zasłaniają.

To wszystko jest bardzo użyteczne i osiągnęliśmy rzeczywiście już wielkie zwycięstwo w konstrukcji naszych domów, zdrowotności dzielnic i usprawnienia komunikacji. Z tego tworzywa mogą powstać dzieła piękne. Musimy tylko do problemów, związanych z budową miasta, włączyć także, a może przede wszystkim zagadnienia piękna, zaspokojenie potrzeb estetycznych człowieka.

*) Por. artykuł „W parterowym domku przy cichej ulicy” w nr. 5 (23) „W Drodze”.



DAMASZEK. PAŁAC AZEM. DZIEDZINIEC HAREMU

Zaledwie 100 klm świetnej asfaltowej szosy dzieli Damaszek od Bejrutu. W dwie godziny, „bez wiz i paszportów” można wygodnym samochodem odbyć te najfantastyczniejszą podróż między dwoma stolicami. Nigdzie chyba Zachód i Wschód nie schodzą się tak jak tu blisko. Dwa odrębne, zamknięte światy poje, myśli i uczuć ludzkich, dwie różne przyrody podeszły do siebie. Mierzą się, porównują, obserwują nieufnie, czekają... Jakby zaniekpokojona tym dziwnym sąsiedztwem, natura rzuciła między nie dwa górskie łańcuchy.

Wybiegająca z Bejrutu szosa pnie się szybko zawrotnymi serpentynami w górę. Przecina malownicze miasteczka lewantyńskiej riviery, wylatuje ponad zieloną otchłanią doliny Hammany na śnieżne przełęcze, z których widać w oddali wrzynający się w błękit morza różowy cypel Bejrutu. Za chwilę spadnie z libańskich szczytów na płaską równinę Beki, bezpiecznie między dwoma grzbietami gór rodzącą swe bogate skarby.

Z drugiego jej krańca wznosi się masyw Anty-Libanu. Przykucnięta u jego stóp ormiańska kolonia. Równie rządy żółtych mactych domków, jednakowoż jak pudełka, od zapasów, o jednych drzwiach i jednym oknie, przypominają raczej opuszczoney cmentarz wojenny niż ludzkie siedziby. Nie ożywia ich ani jedno drzewo, ani jedna plama trawy. Smutny pomnik międzynarodowej dobroczynności, wystawiony przez Ligę Narodów dla ofiar „przebudzenia” pierwszego narodu Wschodu, który jednym skokiem chciał przebyć długą drogę rozwoju europejskiej cywilizacji i kultury.

Stąd zaczyna się już surowy, pustynny krajobraz gór Ażil. Nagie, spalone słońcem, starcie wschodnimi wierzhami hale, martwe płowe pagóry, jakoś inne od niezłeciwianych dolin, zielonych przepaści i lasów pinowych Libanu. Kamienistym kenionem wychodzi szosa znowu wysoko na przepyspane śniegiem szerokie platformy szczytów. Po szarych piargach droga spływa w obrębiony topolami wąwozu Barady, by już niepostrzeżenie przejsz w główną ulicę wjazdową Damaszku.

Nazwano Damaszek perłą Syrii. Jedno z najstarszych, może najstarsze do dziś zamieszkałe miasto świata. W nim pierwszy po potopie wzniesiono mur. Rozmaitowani w porównaniach arabscy poeci obdarzyli go tysiącami imion, osnuli tysiącami legend. Chwała Allahowi, że uczynił z niego wyspę pięknej zieloni na obłazach ziemi. Ogrody jego były jednym z rajów świata, jak Soghd w Samarkandzie, wódz Bawwanu i wyspa Obolli. Jego miasto jest wśród czterech miast świętych, obok Mekki, Medyny i Jerozolimy, z którymi walczą cztery miasta piekła, w których Konstancyjopol, Tyberida, Antiochia i Jemennick Sa'n. W tym mieście, które jest, jedną z krain wyobraźni, jedną z siedzib poezji, jednym z zamków duszy”, Allah pozwalał zamieszkać tym, którym pragnął nagrodzić.

Mahomet nie był w Damaszku. Opowiadają, że patrzył na leżące u swych stóp miasto z góry Kassioum, na której Abraham poznał prawdę jedynego Boga i której wyschła ziemia chłiwie piła krople krwi konającego Abła. W ulice nie zeszedł, nikt bowiem „dwa razy w kraju być nie może”.

I dzisiaj, gdy patrzy się o świcie z wysokości meczetu Mohieddine na otulone siwą welną porannych mgieł ogrody damasceńskiej oazy, jak pierwsze promienie wschodzącego nad pustynią słońca biegają z kopuły na kopułę, z minaretu na minaret, wyczuć można jak niepokojące piękne tego zjawiska stało się ciszą, wokół której rozegrał się wielki akt tragedii minionego świata.

Kiedys, położony na wielkim szlaku karawanowym, na skrzyżowaniu pustynnych dróg, Damaszek łączący starożytne narody, Cienięli przezeń ludzie, podąża obciążone wielbłądy od gór Kaukazu i Persji do Judei i Egiptu, od fenickich portów nad brzegi Eufratu i Tygrysu. Za ludźmi i towarami szli bogowie i myśli. W czasach wielkości Izraela stolica kraju aramejskiego nieraz przyciemnia blask Jerozolimy.

Tu, po bitwie pod Issus, Aleksander położył zwycięską rękę na skarby i żony Dariusza. Uczeń Arystotelesa uniósł z kolan córkę wielkiego króla, by tym małżeńskim gestem poślibić hellenizm i Azję. Był może — pisze Barrés — wtedy w Damaszku spotkały się Wschód i Zachód po raz pierwszy nie żeby się wzajemnie niszczyć, ale żeby się poz-

STANISŁAW WEINBERG

lepszego”. Na ruinach jego świątyni zakwitły potem inne wiary. Pod wielkimi monolitami jej korynckich kolumn tłum handlarzy wrzeszczy o doskonałości cuchnących ryb i tandetnej galanterii.

Wokół Via Recta — Prostej Ulicy, powstało drugie po Jerozolimie skupienie pierwszych chrześcijan, którzy słuchali nauk Ananiasza. Mały meczek Jami Jagmaq wznosi się na niej w miejscu, gdzie kiedyś stał dom Judasza. W tym domu schronił się Paweł z Tarsu. Przybył tu z Jerozolimy, by służyć nowemu ruch, podmywający fundamenty panowania rzymskiego. Nawrócić się „na drodze do Damaszku” i w koszu przez okno uciekał przed gniewem ludu.

Spadek idei Aleksandra przejęli Omajadzi. Sto lat ich panowania wyniosło Damaszek na szczyty, jakich nie dosięgło może nigdy żadne inne miasto świata. Siedziba kalifatu, Damaszek, staje się stolicą olbrzymiego imperium. Jego granice wspiera z jednej strony mur chiński, z drugiej — ślupy Herkulesa. Rozkwita sztuka, nauka i rzemie-

śło. Nie tamują rozwoju żadne religijne ani narodowe bariery. Chrześcijaństwo i Żydzi damasceńscy, w owym czasie autochtoni, żyją i tworzą w doskonałej harmonii z napływającymi z najdalszych zakątków ziemi przelotami młodego Islamu. Abdul Malik, budowniczy meczetów i kościołów, ściga artystów i poetów, rzemieślników i architektów z Aten, Bizancjum i Rzymu. Za pierwszego doradę w sprawach wielkiego państwa bierze Jana syna Sergiusza, który potem zakochuje życie w pustelni klasztoru świętej Sały i otrzyma imię świętego meczetu pierwszych kalifów

Po wkroczeniu do Damaszku w r. 633 założyciel dynastii, Khaled ibn Walid, dzieli romański kościół Św. Jana Chrzcielała pomiędzy dwa kultury. Przez kilka dziesiątków lat wierni w dwóch częściach jednej olbrzymiej nawy w dwójaki sposób modlą się do Boga. A chociaż potem inny kalif omajadzi, Walid I, burzy ołtarz, zostawia jednak na sali meczetu marmurowy grobowiec z zabalsamowaną głową świętego.

Jak duch Omajadów nad legenda miasta,

kich krajów Wschodu. Kastowść przetrwała różne wstrząsy i różne konstytucje, ale pozostała sobą, prawie że niezmienną, choć niepisana i nie zalegalizowana. Inna rzecz, czy będzie tak zawsze, w Iranie bowiem na rozwój wypadków mogą wpłynąć nie tylko siły wewnętrzne, lecz także i czynniki zewnętrzne, silniej niż w jakimkolwiek kraju Środkowego Wschodu. Ograniczając się jednak dziś do rozważenia układu sił na wewnątrz, należy stwierdzić, że w dziedzinie możliwości startu życiowego swych obywateli Iranowi jeszcze daleko do demokracji.

Należałoby teraz zapytać się, jak się przedstawia to drugie oblicze demokracji w bardziej nowoczesnym, a raczej alianckim, znaczeniu tego słowa, to znaczy, jak wygląda udział narodu w rządach. Tutaj sprawa jest już komplikuje. Szach bowiem nie jest władcą absolutnym, ale czy oznacza to automatycznie, iż naród rzadzi lub istotnie wpływa na rządy? Odpowiedzi na to możemy poszukać w głosach prasy irańskiej. Poszczególne dzienniki, pojawiające się w stolicy jak grzyby po deszczu (formalnie jest ich zarejestrowanych aż 80 w samym Teheranie), toczą nieprzerwaną walkę między sobą, a ich pasją jest obrona jakiejś obojętności politycznej lub gwałtowne atakowanie innej. Normalny zarzut, jaki dzienniki te formułują wobec przeciwnika, to jego przekupstwo lub przekupienie innych w walce wyborczej. Dojdąmy do tego, iż Iran jest jedynym bodaj krajem na świecie, gdzie wybory do parlamentu trwają około sześciu miesięcy, podczas

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

GUSTAW REY

Między Persją a Polską jest Rosja

W perskim numerze „W Drodze” prof. Kościakowski przedstawiał stosunki między „Polską a Persją — w toku dziejowym” (nr. 15 z dn. 1 listopada ub. r.). Oderwany od swego warsztatu pracy, od źródeł i materiałów, oraz ograniczony miejscem, prof. Kościakowski mógł pobiżnie potraktować ten temat.

Stosunki polsko-perskie bowiem, jak to zresztą podkreśla również prof. Kościakowski, były częścią układu sił oraz wielkiego systemu handlu na Wschodzie. Droga handlowa między Polską a Persją wiodła również przez Rosję, a stanowisko carów było ważnym elementem w wielkiej grze politycznej, związanej z Turcją.

Ten wspólny polsko-rosyjski problem Persji (i Turcji) jest właśnie omawiany w nrze 8-ym „Istoriczieskich Zapisok” sowieckiej Akademii Nauk w pracy E. Zewakina p. t. „Perskie zagadnienie w rosyjsko-europejskich stosunkach XVIII wieku”.

Referując kolejno stosunki między Persją a państwami Europy, poświęca Zewakin obszerny rozdział również i Polsce. Znajdujemy tam szereg ciekawych informacji, które rozszerzają obraz, naszkicowany przez prof. Kościakowskiego, wprowadzając zwiastujące czynniki Moskwy, które od chwili zajęcia przez Turków głównych dróg, łączących Europę ze Wschodem, stała się terenem transzitu.

Dojdąmy od razu, że dla Rzeczypospolitej było to szlak niewygodny, zarówno z powodów politycznych (XVI wiek — okres walki z Moskwą o ziemie smoleńską i ziemie litewskoruskie), jak i dla tej przyczyny, że carowie zazdrośnie strzegli handlu wschodniego dla swego kupiectwa.

W r. 1634 Rzeczpospolita (ostatnia z państw) uznała Michała Romanowa carem i w tej dwa lata później przez Astrachan wracając posłowie — Kostenos, obywatel perski od hetmana Koniepcowskiego oraz Patrenos od szacha perskiego, Sefigo. Koniepcowski z wojskiem dotarł wówczas pod Kamieńcem, na granicy tureckiej, a szach Sefi, będąc w stanie wojny z Turkami, z wielką radością przy-

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

LISTY Z PERSJI

gdy wszędzie to samo zjawisko zajmuje kilka lub najwyżej kilkanaście godzin czasu. W Iranie pomimo 14-tej kadencji parlamentu nikt jeszcze nie widział „ogonków” przy urnach. Desinteressement starego człowieka wyborami do parlamentu jest kompletne. Tenże sam jednak szary człowiek wyległ tłumnie na ulice, by wiwatować przejeżdżającego Szacha, którego władza i konstytucyjnie, i faktycznie jest znacznie ograniczona.

Spójrzmy na inną cechę demokracji irańskiej — sprawę partii politycznych. Otóż za panowania Szacha Rezy żadnych partii politycznych nie było, a posłowie do parlamentu byli poprostu nominatami Szacha. Dzisiaj już istnieją partie, tak przynajmniej deklarują ich teherańskie organy prasowe. Istnienie jednej partii — jej działanie jest niezaprzeczone — jest to komunistyczna partia. Tude („Naród”). Partia ta różni się tym od innych, iż ma wiele cech nowożytnych partii politycznej, jak: określony program polityczny, organizację partyjną, oddziały w różnych miejscowościach, parę własnych, rzucających konsekwentne hasła, dzienników, a — co najważniejsze — własnych posłów do parlamentu. Ta ostatnia cecha jest szczególnie ważna, gdyż, jak dotąd, żadna

inna partia, o ile tę nazwę można objąć małe grupki inteligentów teherańskich, zakładających dzienniki, nie wystawiała swych kandydatów do parlamentu. Nie w tym zresztą dziwnego, gdyż dla zmoutowania prawdziwej masy partyjnej trzeba pieniędzy, do tego zaś jeszcze zmysł społeczno-organizacyjny Irańczyków nie dojrzał. Ci zaś, którzy gotówką dysponują, wolą sobie montować aparaty wyborcze wyłącznie dla własnego użytku. Stąd też, z wyjątkiem posłów z ramienia Tude, wszyscy inni posłowie musieli prowadzić dla zdobycia mandatów indywidualną walkę wyborczą. Wszeli inni zatem do parlamentu nie reprezentują ani żadnych grup ideologicznych, ani żadnych określonych organizacji. Partia Tude zdołała wprowadzić do tychczas przeprowadzić tylko siedmiu posłów, jednak w przeciwstawieniu do reszty stanowią oni zwartą i świadomą grupę. O tej zwartości świadczy fakt, iż wskutek zbiorowej nieobecności partii w Teheranie nie mogła się odbyć inauguracja parlamentu, wyznaczona początkowo na 24 stycznia, gdyż zabrakłoby quorum. Była to zatem pierwsza zbiorowa manifestacja tej grupy na te parlamentu, ale jeszcze przed jego otwarciem. Należy przypuszczać, iż ta sama grupa nie omisszka

manifestować swej solidarności w trakcie przyszłych obrad. Nie wiadomo, jaki może być tego skutek, można jednak przypuszczać, iż takie manifestacje pobudzą elementy nieprzychylni Tude do jakichś kontr-manifestacji, a co za tym idzie, do konieczności zorganizowania się i, kto wie, czy nie do ustalenia pewnego programu. Już obecnie istnieją cztery frakcje na terenie parlamentu, oprócz Tude, — jednak są to tylko grupowania posłów, złączonych doraźnymi interesami, i do tychczas trudno jest stwierdzić, by te frakcje posiadały jakikolwiek program polityczny lub socjalny. W każdym razie nie mają one za sobą żadnych partii politycznych, któreby je popierały. W tych warunkach bardzo trudno jest przewidzieć, czy reakcja na ideologię partii Tude będzie miała charakter demokratyczny, czy nie. Szach Reza pokazał swemu narodowi, że można zwalczać ideologię, idącą z pomocą, poprostu fizyczną siłą, przesiadłownianiem i eliminacją wszelkich elementów fermentu. Ale dziś Szacha Rezy nie ma i jego następcą nie jest w stanie osiągnąć się podobnymi metodami. Nie znaczy to jednak, że będzie wprost przeciwnie. Poza bowiem terenem parlamentu jest jeszcze aparat administracyjny, który rząd zawsze może użyć dla swych celów. Jest poza tym także kasta duchownych muzułmańskich, którzy zachowali swój punkt widzenia na pewne sprawy i którzy po detronizacji Szacha Rezy coraz bardziej podnoszą głowę.

Narodowy dziennik „Majhan Parestan” donosił niedawno, iż do partii, którą on repre-

zentuje, noszącej tę samą nazwę, zgłosiło ostatnio swój akces 120 tysięcy Lurów. Lurówie są wojowniczym plemieniem, zamieszkującym zachodnio-centralne kresy Iranu, i raczej trudno jest ich pościć o to, że się zbyt orientują w arkanach życia partyjnego. Rzykobyłabym twierdzenie, że pojęcie „statak partii” nie zawsze budzi u członków tego plemienia właściwe skojarzenie, a co dopiero mówić o „partii”. Nie chodzi jednak o samych Lurów. Będą oni żyć na swój stary, tradycyjny sposób prawdopodobnie jeszcze długo, a jedyny obłask cywilizacji, jaki do nich dojdzie, wyraził się w trakcie obecnej wojny w postaci „puszki „bafsi”, zwaną w biegu „manką”, po słowie amerykańskiego „jeepa”, lub w temu podobnych przejawach zachodniej kultury. Chodzi raczej o poziom i powagę samego czcigodnego dziennika, który tego rodzaju wiadomości podaje do konsumcji paru setkom swych teherańskich czytelników-inteligentów. W tych warunkach nie łatwo jest mówić o „świadomej demokracji”.

A jednak... Co raz notuje się w Iranie objawy modernizacji.

Takim objawem było utworzenie na początku b. r. partii Kobiet. Dla entuzjasty, któryby chciał widzieć na każdym kroku postęp, realizowany przez ludzkość, wiadomości taka byłaby nowym dowodem słuszności jego teorii. Dla realisty, który zna życie na Wschodzie, sprawa wygląda inaczej: par intelektualistek irańskich zebrało się pewnego wieczoru i po żywej wymianie zdań zapaliło się do utworzenia organizacji kobiecej, która miała za zadanie bronić praw tej uproszczonej społeczności. Utworzone, więc t. zw. partię, wyznaczono parę odczytów i przemówień przez radio i... sprawa uciechła. I tak musiało być, gdyż obojętność kobiety wschodniej na jakiegokolwiek zagadnienie, wykraczając poza ramy życia domowego, jest dotychczas zbyt silna na to, by można było wykreślić w niej nagły entuzjazm dla zupełnie obcych pojęć. Chociaż, formalnie biorąc, kobiety Iranu nie noszą już woałi, to jednak nie odkrywają one jeszcze zupełnie swych twarzy. Normalnym strojem Persjanek jest dotychczas t. zw. czadra, t. zn. narzuca z lekkiego, przeważnie jasnego materiału, którą kobieta okrywa się całą i którą przetrzymuje w ten sposób, by nie odkrywać twarzy. Zwyyczaj ten nie ogranicza się tymczasem do niższych sfer, lecz jest praktykowany także wśród elity. Od czadry do partii kobiet jest wielka droga do przybrania, i nie przejdzie się jej zbyt łatwo. Pionierkami będą tu, jak zwykle, kobiety, pracujące samodzielnie. Droga do emancypacji będą wyrabować sekretarki, maszynistki, stenotypistki, ekspedientki i nauczycielki. Proces ten będzie powolny i wiele wody upłynie ze źródeł Demawendu, nim doprowadzi on do istotnej socjalnej poprawy bytu kobiety. Tymczasem jednak ziarno jest już zasiane. Z radiostacji teherańskiej rozbrzmiewa już głos speakerki (do której działu należał chwilowo tylko pyty gramofonowy), a po biurach irańskich widuje się już panienki przy telefonach lub za maszyną. Nie osiągnęły one jeszcze swego celu, nie wypracowały sobie jeszcze jakiegokolwiek zamierzonych siatki, ale już widać, że w burzach aleksandryjskich potentatów bawelny lub shippingu, gdyż Iran jest położony za siedmioma górami i rzekami. Jednak są już na tej samej drodze.

Zresztą ani plan polski, ani rosyjski, dotyczący budowy świątyni, nie został urzeczyniony w XVII wieku, a wstąpił przez papieża (w r. 1683) do Persji drogą moskiewską arcybiskup miał za zadanie oprócz „nauczania i naprawiania wiary chrześcijańskiej” — również przewiezienie posłań od cesarza niemieckiego i króla polskiego z propozycją wspólnego przemyślenia z Rosją przeciw Turcji. Papież nakłaniał do sojuszu, nazwanego później świętym, również Wenecję, Brandenburgię i Szwecję.

Polałom jednak nie udało się ani namówić Persów do wojny przeciw Turcji, ani Moskwy do transzitu dla handlu polsko-perskiego.

WACŁAW RADULSKI

TEATR ROKU DWUTYSIĄCZNEGO¹⁾

OD AUTORA

Ileć próbowałem przypomnieć sobie sobie moich małych przyjaciół z okresu dzieciństwa, z przeszłości się wylinali, narówni ze Stasiem B., Jankiem Z. i Zosią L. — Tomcio Paluch, Śpiąca Królewna, Krasnoludki i Ala z Krainy Czarów.

Postacie z bajek były dla mnie nie mniej konkretnymi istotami od żywych chłopców i dziewcząt, a ich przyjaźń do mnie była co najmniej tak samo gorąca, jak i koleżeńskość żywych dzieci.

Potem żywi przyjaciele zmieniali imiona i nazwiska, ale Tomcio i Ala byli zawsze ze mną, zawsze bliscy i chętni do pogawędki.

Gdy powstał pomysł napisania książki, popularyzującej sprawę Teatru, zrozumiałem, że jest to właściwa okazja do wznowienia starej przyjaźni.

Ala, wędrująca po Krainie Czarów i Zwierciadła, musiała zawędrować do fantastycznej Krainy Teatru. W tej pełnej czarów Krainie nie mogło zabraknąć Ali, będącej uosobieniem wielu młodych dziewcząt, stawiających swoje pierwsze kroki po dziwnym świecie Teatru.

Oto geneza wariacji teatralnych na tematy pięknej i mądrej bajki L. Carrolla (C. Dodgsona).

Pamięci twórcy „Alicji”, mojej ukochanej koleżanki lat dziecięcych, poświęcam tę książkę.

I

Alicja stanęła przed gmachem teatru i zaczęła mu się przyglądać. Zielone, różowe, niebieskie i żółte światła migotały nad jej głową, również na chodniku, pod jej nogami, rozbłyskiwały wszystkie kolory tęczy. Światła układały się w litery, a litery — w anonsy:

— „Teatr roku 2000”. Wejść, widzu! Jednocześnie ktoś niewidoczny powtarzał w kółko ten sam tekst:

— „Teatr roku 2000”. Wejść, widzu! — Głosnik — domyśliła się Ala i, posłuszna wezwaniu w słowie i piśmie, podeszła do dużych schodów, stanęła na pierwszym stopniu i razem z nim zaczęła unosić się w górę.

— Aha — pomyślała Ala — to tak, jak w kolejce podziemnej. Rzeczywiście, wstęp do tego teatru jest bardzo ułatwiony.

Na górze, w prawo i w lewo od wejścia, wzdłuż korytarza biegnęły pasy ruchomego chodnika. Ala wstąpiła na pas pierwszy i pojechała w nieznaną, ukrytą zaokrągleniem korytarza.

Po obu jego stronach Alicja miała jaszkrawo oświetlone drzwi z napisami. Jeden z nich obiecywał w zamian za pieniądze prawo korzystania z wszystkich udogodnień „Teatru roku 2000”, nie wyłączając prawa obecności na przedstawieniu; drugi zapraszał do wzięcia orzeźwiającej kąpieli w atrakcjach sztuki, jeszcze jeden zwracał uwagę na to, że jedynie w tym gmachu wszelkie eksperymenty są prowadzone konsekwentnie aż do skutku, łamiąc zasady nędznych kompromisów innych teatrów.

Wtem chodnik przestał się poruszać. Alicja stała przed drzwiami, które składały się z wirujących, kolorowych liter. Napis brzmiał: „Inkubator pomysłów teatralnych. Pukać 11 razy”.

— Dlaczego aż 11? — zdziwiła się Ala — a jeśli komuś bardzo się śpieszy? — Poczem zapukała w literę „B”, która była właśnie na poziomie jej ręki. W odpowiedzi na pukanie Ala usłyszała ponownie melodeklamację, składającą się z paru powtarzających się taktów, granych na organach Würlitzera, i ze słowa „wejść”.

— Chętnie, ale jak to zrobić? drzwi są przecież zamknięte, mimo że pukałam co najmniej 10 razy.

To wypowiedziawszy, Ala kopnęła literę „B”, ale drzwi pozostały w dalszym ciągu zamknięte, tylko kopnięta litera zaczęła mrugać i zmieniać kolory w zawrotnym tempie.

— Gdzie się podział boy? — myślała Ala. — Muszę poskarżyć się, że lekceważy swoje obowiązki, — a ponieważ niewidoczny głos powtarzał w kółko „wejść”, „wejść”, „wejść”, „wejść”, Ala zniecierpliwiała się i krzyknęła na cały głos:

— Właśnie mam zamiar to zrobić, tylko nie widzę nikogo, kto by mi w tym dopomógł.

To oświadczenie odniosło widocznie skutek, gdyż bezpośrednio po jego wygłoszeniu zgasała w drzwiach litera „O” i w otworze „O” pokazało się czyjeś czerwone oko. Oko uważnie obejrzało dziewczynkę, poczym znikło, aby ustąpić miejsca wargom:

— Omyliłaś się. Puknęłaś 14 razy. Nie umiesz liczyć. Musisz mieć talent artystyczny. Czy masz nowe pomysły teatralne? — zapytały wargi i zamieniły się w ucho.

Alicja nie była pewna, czy słowo „artystyczny” nie zostało tu użyte w tym samym sensie, w jakim go wypowiedziała mama podczas poprawiania jej uczesania, uprzednio

poddanego próbie wytrzymałości w skokach i podrzucaniu głową piłki, na wszelki jednak wypadek udzieliła odpowiedzi twierdzącej.

— W takim razie, wejść — powiedziały przez otwór „O” wargi i na miejsce warg zjawił się palec.

Zmiana nastąpiła tak szybko, że Alicji przyszła do głowy możliwość isnienia gadających palców. Nie miała jednak czasu na zastanawianie się nad tą sprawą.

Palec pociągnął drzwi, drzwi uniosły się w górę, tak jak kurtyna teatralna, i Alicja zobaczyła przed sobą dużą salę, do której bez namysłu weszła.

— Jaka dziwaczna biblioteka — zauważyła Ala.

Ściany sali były zaopatrzone książkami, a jej wnętrze — pełne stołów i stolików, za którymi siedzieli zaaferowani panowie. Zdziwiło Alicję to, że przy dużych stołach siedzieli pojedynczo, podczas gdy małe stoliki były zatłoczone przez siedzących w sposób nader niewygodny panów, po dwu i trzech na jednym krześle. Ale zaciekała ją co innego. Nigdzie dotąd tego nie widziała: wszystkie stoły i krzesła stały na różnych poziomach. Zauważyła stół i krzesło bezpośrednio przy samym suficie, na cienkich, metalowych nóżkach, przypominające fotel dentystyczny, inny stół i kilka krzeseł, na śmiesznie małych nóżkach, znajdowały się obok wejścia, tuż przy podłodze. Nad tym stolikiem widniał napis:

„Zarezerwowane dla realistów”.

Siedziała przy nim kilkunastu panów, którzy, przypuszczalnie z powodu niewygodnego siedzenia, wyglądali na bardzo zagniewanych.

— Hm, hm — usłyszała Ala znajomy głos i podniosła głowę do góry.

Mniej więcej pośrodku sali, między podłogą a sufitem, przy małym biurku na jednej nóżce, siedział właściciel znanego jej czerwonego oka wraz z uchem, wargami, palcem i resztą ciała, ubranego w niebieską marynarkę. Czerwonooki gentleman patrzył na Alicję, trzymając wyciągnięty w jej kierunku palec.

— Czy masz nowe pomysły teatralne? — zapytał.

— Mam — odpowiedziała Ala.

— Ona kłamie, — usłyszała Alicja skrzeczący głos z kąta sali, — nowych pomysłów w ogóle nie ma. Ostatni nowy pomysł przyszedł do głowy rabi Halevy'emu w r. 1835, gdy kazał śpiewającym aryjkom udawać bohaterów Żydówki. Od tego czasu nikt nie nowego nie wymyślił.

— Mozes, — odpowiedział czerwonooki pan, — należy pan do starej, zdegenerowanej rasy, według której nie ma nic nowego i wszystko już było. Ale pańskie zdania nie obowiązują panny...

— Alicji — podpowiedziała Ala.

— Dlaczego Alicji? — zdziwił się niebiesko ubrany gentleman. — Zresztą nie uważam żeby kwestia imion i rasy mogła stanowić przedmiot naszej dyskusji. Nie ma sensu poprawiać gusta ubiegłego pokolenia.

— Więc cóż panna Alicja? — zaskrzeczał głos z kąta.

— Właśnie nowe pomysły panny Alicji mogą zmusić pana do skorygowania pańskiego smutnego wniosku — kontynuowały wargi, czemu towarzyszyło mruganie czerwonych oczu i wymachiwanie palcem.

— Chyba pan, panie prezesie, nie chce nas skłaniać ku temu, abysmy zechcieli wysłuchiwać naiwnych pomysłów dyktantki, albo niegustownej opowieści o rzeczach zbyt dobrze znanych? Cóżby to była za męka! — wyraził swoje zdanie następny mówca.

— Proponuję, aby panna Alicja, zanim przystąpi do wygłoszenia swego teatralnego exposé, zapoznała się bliżej z naszym teatrem, a wtedy możliwość... hm... tego... ewentualnego... plagiatu byłaby uniknięta.

Młody jegomość, podając jej do powszechnej wiadomości, przerzucał się od jednej ściany do drugiej, korzystając z istnienia na sali ruchomej bibliotecznej drabiny.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

POCO ZYJEMY

Życie jest djabła warte poza Szopenem, Mozartem; poza Słowackim i Mickiewiczem jest w ogóle niczem.

Ja nie, żeby pisać „Sonety”, ja nie, żeby „Króla Ducha”, — sercem poety pragnę posłuchać:

czego? — no, Wisły, no, oczywiście, kiedy brzożowe liście, jeszcze nie bardzo zielone, jeszcze onieśmiałe, a już kładą się na ziemię, na wodę, w białodrzewiu hodując urodę, i wiem, że przyjdę, zobaczę

— Rzeczywiście, dlaczegoż nie miałbym skorzystać z okazji i sprawdzić psychicznej reakcji dziewczynek na nowe pomysły teatralne? — dołączył się do rozmowy jeszcze jeden gentleman.

— Panna Alicja jest pierwszą osobą, która do nas przyszła jako przedstawicielka tego, tak pięknego wieku. Świadczy to o odrodzeniu instynktu teatralnego w szeregach młodego pokolenia, oczywiście o ile panna Alicja nie jest cudownym dzieckiem lub członkiem rodziny akrobatów.

Alicja nie zdążyła obejrzed mówiącego, gdyż usłyszała krzyk:

— Bardzo dobrze robisz, że nas odwiedzają! Jest to jeszcze jeden dowód upadku zdeprawowanej, burżuazyjnej sztuki scenicznej! Jedynie socjalistyczny realizm uratuje teatr, zżarty klasowymi przeciwieństwami zgniłych społeczeństw Zachodniej Europy!

Gentleman, przejęty smutnym losem teatru burżuazyjnego, krzyczał, jakby to miało uratować ten właśnie teatr, wymachiwał rękami, wreszcie wskoczył na stół, zachwiał się i dla utrzymania równowagi chwycił rękoma napis „Zarezerwowane dla realistów”. Bezpośrednie przejście ruchu balansowania w taniec, przypominający „kozaka”, było następną czynnością tego pana.

Ala była zaciekawiona, czy uda się tańczącemu nie stracić napisu nad stolikiem, gdyż tracąc równowagę, tancerz przywracał ją chwytając rękami za napis. Ale i inni siedzący dotychczas spokojnie „realiści” powstawali z miejsc i tłoczyli się na stole, co wybitnie przeszkadzało tańczącemu. Poczem w grupie tej padło kilka oświadczeń i okrzyków, z których można było wynioskować, że chodzi o to, żeby zginąć:

nowy realizm na rzecz neo-realizmu, czerwony realizm na rzecz białego, biały realizm na rzecz brunatnego, psychologiczny realizm na rzecz realizmu konstruktywnego, muzyczny realizm na rzecz realizmu obiektywnego i klasyczny realizm na rzecz realizmu dynamicznego.

Zapał krzyczących zdawał się być wygasnąć i większość z nich zajęła się zawieszaniem obalonego napisu, jednocząc się w wybitnych jednostek pod wspólnym hasłem realizmu, gdy przez drzwi w głębi wmaszerował na salę pochód.

Pochód składał się z kilku starszych panów w krótkich spodniach i w papierowych czapkach na głowach. Panowie szli parami, obchodząc salę w kółko, dzwoniąc i trąbiąc w dzienne trąbki, widocznie w celu zwrócenia na siebie powszechnej uwagi, co im znakomicie się udało. Ten miły dla ucha hałas był przerywany od czasu do czasu skandowanymi okrzykiem:

„Czysta forma, czysta, czysta, czysta forma, czysta”.

Na widok pochodu, napis nad stołem „realistów” został szybko zerwany i służył teraz jako sztandar dla tej grupy, błyskawicznie sformowanej w czwórki, które ruszyły naprzeciw formistom.

— Jak się pani podoba mój zegarek?

Przy Alicji stał i mówił do niej gentleman z litery „O”.

— Pozwoli pani, że powiem jej, kim jestem. Doolittle, prezes towarzystwa „Teatr roku 2000”, a to — wskazał szerokim ruchem ręki na rozwrzeszczoną salę — to centralny inkubator nowych pomysłów teatralnych i jego pracownicy. Jak się pani podoba zegarek?

— Bardzo piękny — odpowiedziała Ala.

— Cieszy mnie to bardzo, bo na tym właśnie zegarku jest już godzina ósma. Sądzę, że jest to wcale dostatecznym powodem, ażeby napić się herbaty.

— Widzi pani, panno Alicjo, — ciągnął dalej pan Doolittle, — każdy, kto do nas przychodzi, ma prawo do postawienia nam trzech pytań. W zamian za to jest zobowiązany do wysłuchania 33 odpowiedzi. Zanim to nastąpi,

zwrzę się, że ja osobiście wolę podnieć w postaci cejlonskiej herbaty, ale rozumiem, że wiele innych osób pobudzają do twórczości mleko, whisky lub pigułki przeczyszczające. A teraz niech mi pani odpowie na pytanie czwarte: jak pani smakuje herbata?

Alicja siedziała w przyjemnym pokoiku, urządzeniem przypominającym starą gospodę z okolic Ipswich. Herbata była mocna i aromatyczna. Alicja piła z przyjemnością i oglądała panna Doolittle'a który, bez bliżej określonego powodu, przypominał jej kilkumiesięczne, nadmierznie wyrosłe dziecko w przebraniu dorosłego mężczyzny.

— Szanowny panie Doolittle, — płynęły dźwięki tubalnego głosu krępego, jawialnego jegomości, który tym razem wniósł herbatę, — wiem i pamiętam, że regulamin Klubu zabrania składania nowych pomysłów częściej, aniżeli raz na siedem i pół godzin. Pamiętam również i to, że ostatnio zdarzyło mi się parokrotnie przekroczyć paragraf 152 naszego regulaminu, ale tym razem wielkość i niezwykłość pomysłu pozwala mi na przejście do porządku dziennego nad wyżej wymienionym paragrafem i ufać, że został on obalony przez życie w mojej osobie. Nie! wielce szanowna pani, — zwrócił się mówiący do Alicji, — nie! wielce szanowny panie prezesie, — głowa mówiącego szybko zrobiła zwrót ku osobie pana Doolittle, — gruby, ordynarny, nieprzetworzony przez artystę pomysł, nie należy do mnie. Ale tak jak po łuczywie (którego ideą była konkurencja ze słońcem) zjawia się żarówka elektryczna, która, unikając chmur, jest pewniejsza od słońca, tak samo z prymitywnego pomysłu A. Huxley'a ja stworzyłem ideę sztuki zapachowej.

— Oto akcja tej sztuki

Słuchajcie!

Poznali się w fabryce cygar. On, marzyciel, nowoczesny Neron z okresu jego młodości, ona reprezentuje realne zapatrywania na miłość, związane z poczuciem obowiązku dania dobrego wychowania własnym dzieciom. W chwili gdy brzmiał krótki miłosny dialog na tle śpiewu ładnych pracownic fabryki, na widownię za pomocą aparatu, skonstruowanego przeze mnie, wpuszcza się strumień dymu cygarowego. Pierwsze wrażenie na widowni piorunujące. Ach! — myślą widzowie — ach! więc tyle w tej scenie poezji, że jej aromat, będący przecież tylko przenośnią literacką, stał się rzeczywistością! Ci, którym woni dymu cygarowego sprawia przyjemność, rozkoszują się nią, — niepalący na chwilę opuszczają widownię.

Scena druga. Zazdrosny dyrektor fabryki cygar brutalnie wyrzuca z posady kochającą się w uczciwych zamiarach parę, twierdząc z uporem, godnym lepszego użytku, że nie ma miejsca na miłość w fabryce cygar Ohneliebo. On pozostaje chwilowo bez pracy, ona znajduje zadowolenie życiowe w wytwórni serów.

I tu znowuż za pomocą skonstruowanego przeze mnie aparatu na widownię wchodzi śliczne zapachy ementalera, camemberta, roforta... Nie znoszący tych czarownych woni opuszczają scenę i udają się do dobrze zaopatrzonego, po cenach umiarkowanych, bufetu.

Scena trzecia. On dostaje posadę w wędzarni węgorszy. Państwo się chyba domyślają, że wszyscy widzowie czują się na widowni równie dobrze jak w wędzarni.

Scena następna. Lekkie trzęsienie ziemi rujnuje prosperię obu zakładów i stan zdrowia moich bohaterów. I oto oboje, znów złęczeni i szczęśliwi, leżą w szpitalu. Zapachy wybiera dobrowolnie reżyser sztuki. Tempo akcji wzrasta. Co minuta — nowa posada i nowe zapachy. Fabryka perfum... chypr, lawenda, Soir de Paris... zapachy delikatnie dobrane i zapachy brutalnie kontrastowane... Fabryka skóry, pole olejków różanych, róże... róże... produkcja soku czosnkowego, kuchnia z przypalonym mlekiem, fabryka gazów trujących... część widzów opuszcza salę...

Wtem mówiący urwał i zamrugał szybko oczami.

— O! przepraszam, zapomniałem, co następuje z kolei po gazach trujących... zdaje się, że bohatera walka żołnierzy z chmarą moskitów na pustyni. Dzielni wojacy, uzbrojeni w flitownice, flitują... nie, raczej następuje nawiązanie do staroświeckich zwyczajów teatralnych w scenie obrzucania zgniłymi jajami nieudolnych artystów... nie jestem pewien...

Tu nastąpiło mruganie.

— Ale ja zaraz odnajdę rękopis i wrócę. Przykro mi bardzo.

Po wyjściu autora sztuki zapachowej pan Doolittle nachylił się do Alicji i powiedział:

— Pomysł dobry, obawiam się tylko, że pod koniec przedstawienia większość widzów znajdzie się w bufecie, który należałoby odpowiednio poszerzyć. Ale cóż pani na to, panno Alicjo?

— Ja — odpowiedziała Ala — uważam ten pomysł za słuszny. Nareszcie ktoś zatroszczył się o rozrywkę dla biednych zakatrzonych.

¹⁾ Fragment rozdziału z książki „Ala w krainie teatru”. Dokończenie w jednym z następnych numerów. Dla zorientowania czytelnika w charakterze książki, drukujemy również wstęp „od autora”.

FAKTY I KOMENTARZE

Trzy kategorie pracy

Dawniej rozróżniano tylko pracę ciężką i lekką. Teraz przeważnie dodają rozróżnienie pracy fizycznej i umysłowej. Różne przyczyny: mechanizacja, opieka społeczna, racjonalizacja, organizacja, wyrównywanie różnic klasowych — czynią te stare podziały coraz bardziej przebrzmiałymi, co najmniej wśród społeczeństw białych. Znika również z użytku zeszłowieczne wyodrębnienie t. zw. wolnych zawodów.

Rozpatrując współczesne rodzaje pracy, doszli statystycy — ekonomiści i socjologowie — zgodnie do wniosku, że dla badania ustroju społeczeństwa najważniejszą jest ująć wszystkie zawody w trzy grupy, które nazwano po angielsku: primary industry, secondary industry, tertiary industry, zaś po francusku: production primaire, production secondaire i services. Nomenklatura powyższa jest już od 1934 r. stosowana w statystykach Międzynarodowego Biura Pracy i przez to samo staje się obowiązująca w świecie. Niema ustaleń oficjalnych nazw polskich. Najlepiej, sądząc, odpowiadałyby nazwy: praca pierwszego, drugiego i trzeciego rzędu.

Jakie zawody objęte są przez poszczególne grupy?

Grupa I — rolnictwo (wraz z leśnictwem, łowiectwem i rybactwem) oraz górnictwo (wraz z wiertnictwem)

Grupa II — rzemiosła, budownictwo, przemysł metalurgiczny, chemiczny, elektryczny, żywnościowy i t. p.

Grupa III — komunikacja i łączność, administracja publiczna (wraz z obroną narodową), handel, bankowość i ubezpieczenia, hotelarstwo (restauracje, fryzjerneria, pralnie, służba domowa), przedsiębiorstwa widowiskowe, sport, zawody wolne, oświata.

Można się spierać co do słuszności tego podziału. Wielostronność przejawów życia ludzkiego jest tak duża, że nie dadzą się one ująć w kratki i klatki. Gdzie np. zaliczyć rolnika, który jest dyrektorem banku rolnego, albo profesora ichtiologii, który w chwili spisania statystyki łowi właśnie sieje na jeziorze Wigry. Mimo wszelkich usterek, podział powyższy jednak łatwo nam daje jasny obraz stopnia rozwoju społeczeństw. Znamieniem wysokiego poziomu jest proporcja, przechylająca się na korzyść grupy trzeciej. Do niedawna, kiedy stan mechanizacji nie zezwalał na redukcję grupy pierwszej i drugiej — bez przeciągania ich pracą — nazywano przerost grupy trzeciej biurokracją społeczeństwa i uważano to za objaw niezdrowy. Dzisiaj mamy inne na to poglądy.

Jako ciekawostkę warto podkreślić, że jeden z najmniejszych procentów pracujących

grupy pierwszej wykazują właśnie kraje, które najwięcej eksportują żywności: Kanada — 31,7%, Australia — 21,2%, Nowa Zelandia — 27,1%. Natomiast w Rumunii ten procent wynosi 68%, zaś w Irlandii — 51,5%.

Dla zrozumienia jednak w pełni, jak się kształtował ten podział między poszczególne grupy, przytoczyć trzeba statystykę Stanów Zjednoczonych A.P. (te liczby, jak i poprzednie, wzięte są z Colin Clark M. A. „The Economics of 1960”) —

Rok	Grupa I	Grupa II	Grupa III
1870	53,8%	22,69%	23,6%
1937	25,4%	28,8%	45,8%

Do tej tabeli należy dodać, że grupa pierwsza w badanym okresie lat wykazywała stały spadek, a grupa trzecia stała się wzrost, podczas gdy grupa pierwsza do pierwszego dziesięcia dwudziestego wieku wzrastała powoli i, osiągnąwszy wtedy swą kulminację, zaczęła z powrotem w miarę racjonalizacji maszyn na nowo się zniżać.

Jakie stąd wnioski? W społeczeństwach prymitywnych olbrzymia większość pracujących należała do grupy pierwszej, a tylko niewielu było księżat, rycerzy, minstrelów i biegłych w piśmie. W społeczeństwach wczesnej i dojrzewającej industrializacji i kapitalizmu narastała szybko grupa druga oraz biurokracja — „eksploatatorzy”. W naprzód dojrzałym współczesnym społeczeństwie blisko połowa ludzi należy do grupy trzeciej i nowe formy sprawiedliwości społecznej oraz wzmagająca się możliwość wczasów dla wszystkich czynią ich coraz więcej miejsc nie tylko dla tych, co produkują chleb lub żelazo, ale także dla tych, którzy świat upiększają.

A drugi jeszcze wniosek, przeznaczony dla użytku domorosłych polskich ekonomistów, szukających w rolnictwie rozwiązania naszej biedy: — może być, że sporo ludzi z grupy trzeciej założy sobie dla rozrywki i własnego użytku małe ogródki, ale ileś pracujących w grupie pierwszej musi się zmniejszać, jeśli nie ma wśród nich panować niedźza lub ukryte, demoralizujące bezrobocie. Z drugiej zaś strony, szermierzom industrializacji Polski trzeba rzucić przestróg, że nigdy nie potrafią oni znaleźć zatrudnienia dla nadmiaru ludności, jeśli od razu i z miejsca nie będzie położony dostateczny nacisk na rozwój usług społecznych, t. zn. na grupę trzecią.

Czasy masowego popytu na robotnika przemysłowego i żywiołowej ucieczki ze wsi do miast, czasy szukania kawałka chleba w zasięgu fabrycznego kotła parowego należą bezpowrotnie do przeszłości.

W związku z wypadkami tymi amerykański miesięcznik medyczny „War Medicine” w numerze z sierpnia ub. r. zwraca uwagę, że pewni ludzie są szczególnie skłonni do wypadków, posiadają — jak to w piśmie określono — „accident habit”. Tak np. gdy w pewnym szpitalu zrobiono statystykę złamań, okazało się, że 53 procent chorych to ludzie, którzy już po raz trzeci podlegają wypadkowi. Pismo wzywa do wyciągnięcia z stwierdzenia tego wniosków praktycznych i do wyeliminowania z czynnej służby wojskowej wszystkich tych, u których ten „accident habit” może być w sposób dostatecznie pewny stwierdzony.

W związku z wypadkami tymi amerykański miesięcznik medyczny „War Medicine” w numerze z sierpnia ub. r. zwraca uwagę, że pewni ludzie są szczególnie skłonni do wypadków, posiadają — jak to w piśmie określono — „accident habit”. Tak np. gdy w pewnym szpitalu zrobiono statystykę złamań, okazało się, że 53 procent chorych to ludzie, którzy już po raz trzeci podlegają wypadkowi. Pismo wzywa do wyciągnięcia z stwierdzenia tego wniosków praktycznych i do wyeliminowania z czynnej służby wojskowej wszystkich tych, u których ten „accident habit” może być w sposób dostatecznie pewny stwierdzony.

W związku z wypadkami tymi amerykański miesięcznik medyczny „War Medicine” w numerze z sierpnia ub. r. zwraca uwagę, że pewni ludzie są szczególnie skłonni do wypadków, posiadają — jak to w piśmie określono — „accident habit”. Tak np. gdy w pewnym szpitalu zrobiono statystykę złamań, okazało się, że 53 procent chorych to ludzie, którzy już po raz trzeci podlegają wypadkowi. Pismo wzywa do wyciągnięcia z stwierdzenia tego wniosków praktycznych i do wyeliminowania z czynnej służby wojskowej wszystkich tych, u których ten „accident habit” może być w sposób dostatecznie pewny stwierdzony.

daju inne związki patriotów bardzo często stają się agenturami, w których niejednokrotnie najlepsze chęci jednostek skierowane są ku celom zupełnie odmiennym. Mord w Sarajewie (1914), zamach w Marsylii (1935), przewroty w Rumunii, na Bliskim Wschodzie, zamach na Konowalca nie należą bynajmniej do kryminalnej historii świata, ale do dziejów i metod tej dyplomacji, której bohaterem jest „Niewidzialny człowiek”.

Tak bowiem określa dyplomatycznych „drahtziurów” słynny agent niemiecki z wojny poprzedniej, kapitan marynarki Rintelen von Kleist, który, złapany przez Anglików, po zawarciu pokoju wydaje książkę wspomnień o dyplomatyczno-szpiegowskiej i dywersyjnej robocie Niemiec z przedmową byłego szefa angielskiego wywiadu, King Hall'a.

Rintelen von Kleist ma poważny staż. Pracował w państwach neutralnych, był najbliższym pomocnikiem von Papena w Stanach Zjednoczonych i kierował tam akcją dywersyjną, której celem było opóźnienie i podrywanie dostaw materiałów wojennych dla sprzymierzonych. W tej robocie właśnie Pa-

pen i Rintelen wykorzystali liczną rzeszę uchodźców z Irlandii, którzy do Stanów Zjednoczonych zawieźli zawziętą urazę do Anglii. Nie zawsze ta akcja Irlandczyków miała cechy dywersji wręcz. Często odbywała się pod hasłami walki socjalnej i niejedną strajk robotników portowych, opóźniający dostawy, był inicjowany przez irlandzkich przyjaciół von Papena.

Niemcy podtrzymują wówczas (jak i potem) antybrityjski ruch wyzwoleniczy Irlandii, starając się u boku Anglii założyć bazę niemieckich łodzi podwodnych, wypadów, informacji i szpiegostwa. „Republikańska armia irlandzka” jest zaopatrywana przez Berlin, a niezależnie się Irlandii obchodzone jest w Niemczech jak własne zwycięstwo.

Powstanie niezależnej Irlandii nie zakończyło sporu; między Dublinem a Londynem pozostała rysa (w postaci zatargu o Ulster) i w szczelinę zaczęli się wślizgiwać „niewidzialni ludzie”, którzy chowając się dzisiaj za suwerennością republiki Eire, z urazy do Anglii chcą uczynić odskocznik dla własnych celów.

Gen. Wingate

Wojna nowoczesna, wojna mas, przemysłów, motorów — nie wyrugowała jednak indywidualnego bohaterstwa. Na tle gigantycznych zmagani postać samotnych rycerzy rysuje się jeszcze bardziej romantycznie. I dlatego śmierć gen. Wingate'a w dalekiej dżungli indyjskiej tak szczerze zmartwiła wszystkich, którzy imię bohatera walk partyzanckich znali nie tylko z nekrologów pośmiertnych.

Stąd specjalny smutek również wśród społeczeństwa żydowskiego w Palestynie, pamiętającego Wingate'a jeszcze jako kapitana; w Abisynii w randze już brygadiera organizował (2 lata temu) akcję partyzancką, jako element zwycięskiej kampanii marszałka Wavella, który do Indii, gdzie jest wicekrólem, zabrał „Lawrence'a obecnej wojny”. W tej akcji Wingate zetknął się również z Polakami z Legii Oficerskiej, organizującymi pod jego dowództwem partyzantów w Libii i Abisynii.

Wingate nie był zwyczajnym organizatorem partyzantki. Był dowódcą tej klasy, o którym marzy de Gaulle w swej przenikliwej książce o nowoczesnej wojnie. Wyjaśniając, na czym powinno polegać wykształcenie dowódcy, pisze: „Cwiczyć wyobraźnię, sąd, decyzję, nie w pewnym określonym kierunku, ale dla nich samych i bez innego celu, jak ten by uczynić je niezależnymi i pewnymi — oto będzie filozofia kształcenia dowódców. Jednakowoż, ci którzy posiadają talent głębszej refleksji, łatwości uogólnienia, pewności sądu, bez których zasoby wiadomości fachowych byłyby bez wartości, rozwijałby go źle, gdyby stosowali go wyłącznie do zagadnień wojсковych. Potęgą umysłu wymaga różnorodności, której się nie znajduje w wykonywaniu wyłącznie swego zawodu, podobnie jak nie można się zabawić wyłącznie w towarzystwie rodziny. Prawdziwą szkołą dowódcy jest dopiero — kultura ogólna... Nie ma wielkiego wodza, któryby nie odczuwał i nie smakował w dziedzictwie ducha ludzkiego. U źródeł zwycięstw Aleksandra Wielkiego odnajdziemy zawsze Arystotelesa”.

Takim właśnie przedstawia Wingate'a Martin Moore, jeden z nielicznych dziennikarzy, który towarzyszył mu w jego akcji birmańskiej.

Gdyby nie mundur, można by Wingate'a wziąć za profesora-naukowca, lub prawnika. W wieku lat 38 Wingate był już zupełnie siwy; miał twarz intelektualisty, niebieskie, przenikliwe oczy, podbródek agresywnie wysunięty i kanciasty nos.

Wingate studiował wojnę. Ale nie tylko wojnę. Studiował również życie i sztukę, a w sercu dżungli często prowadził rozmowę o literaturze, malarstwie, ekonomii, filmie, czy powojennej organizacji świata. Cytował dzieła zarówno polityczne jak i wojskowe, zarówno Platona, jak i poezję.

Można, rzecz prosta, dyskutować, czy spór o Ulster został rozstrzygnięty najszybciej — ale nie ulega wątpliwości, że

1. dzień, w którym Anglia padłaby pod ciosami Niemiec, byłby również ostatnim dniem tej samodzielności, jaką dziś posiada Irlandia,

2. istnienie placówek Osi u boku Anglii jest przeszkodą na drodze do zwycięstwa, które również Irlandii zapewni bezpieczeństwo narodu i polityczne.

Jeśli de Valera ma dzisiaj możliwość decydowania, zadowolę się tylko tem, że samotniona Anglia nie uległa w walce tym, którym dzisiaj służy Irlandia, chociaż nie musi.

Zatarg nie został załatwiony i w Izbie Gmin. Eden musiał tłumaczyć niektórym posłom, dlaczego placówki Japonii w sprzymierzonej Rosji nie są tak groźne, jak gniazda Osi w neutralnej Irlandii. Równocześnie nastąpiła groźba wstrzymania zaopatrzenia dla krnąbrnego sąsiada.

Jego taktyka wobec Japonczyków była również wynikiem studiów nad ich narodowym charakterem i specyficznymi warunkami Birmy. Doceniając w pełni fanatyzm Japonczyków, gotowość poświęcenia siebie dla sprawy mikada, Wingate twierdził, że jedynym sposobem zwalczania ich bez wielkich strat jest obejście, odcięcie od baz zaopatrzenia, zaatakowanie od tyłu. Natarcie na umocnione stanowiska japońskie w dżungli byłoby niepotrzebną stratą ludzi, sprzętu i czasu.

Wzorem Abisynii i Libii Wingate również organizował nienawistę Birmańczyków do Japonczyków. W manifestie do ludności birmańskiej Wingate zapowiedział, że z powietrza zjawia się tajemnicze duchy (czytaj spadochroniarze), by podnieść naród, jęczący pod ponurym jarzmem Japonii. Siły swe nazywał Chindits. Jest to stare birmańskie określenie legendarnych półptaków, półzwierząt, brojących się przed zymy duchami. To też szybko posłała sława o kapitanie Wingate jako o wodzu Chindits albo protektorze świątyni.

Wingate ćwiczył swoich Chinditsów w Indiach przez szereg miesięcy w ścisłej tajemnicy. Tworzyli oni towarzystwo bardzo mieszane. Byli tam żołnierze angielscy najroźniejszych regimientów, komandosi francuskich i norweskich wybrzeży, dzieci Gurkhasi z górzystych terenów indyjskich, byli też żonaci Anglii, których w metropolii zaliczono do służby drugorzędnej. Wszyscy oni byli ćwiczeni razem, i, jak się niebawem okazało, dobrze ćwiczeni.

Do Birmy przedostali się oni długimi marszami nocnymi, mając możliwość, karabiny maszynowe i amunicję, załadowane na słońcach. Zaczęli bić Japonczyków ich własną bronią: sztuką przedzierania się przez dżunglę, nieraz do 300 mil w głąb terenu nieprzyjacielskiego.

Każdemu oddziałowi wyznaczał Wingate osobne zadanie. Chodziło głównie o dywersję, niszczenie kolei, dróg, rozpoznawanie nieprzyjaciela. Powodzenie poszczególnych grup w wielkiej mierze zależało od wspaniałeństwa przez Wingate'a zorganizowanej współpracy z RAF'em. Każdy Chindits miał bowiem ze sobą zaopatrzenie jedynie na 6 dni, dlatego też jedynie utrzymanie łączności z przydzielonymi samolotami (za pomocą radi) zapewniało amunicję i prowiant, zrzucając na miejsca, ściśle wskazane przez partyzantów. Zresztą nie tylko zaopatrzenie bojowe. RAF uważał za punkt swego honoru dostarczanie absolutnie wszystkiego, co tylko trzeba. Zrzucało więc również monokle, utwory Shaw'a, szkockie spódnice, a gdy otoczony przez Japonczyków oficer Wingate'a zażądał tego, otrzymał również notatnik dla spisania swoich wrażeń.

Miarą powodzenia akcji może być fakt, że do walki z grupkami Wingate'a w Birnie wydzielili Japonczycy całe dywizje.

Niewidzialny człowiek i niewidzialny program

Konflikt między Londynem i Waszyngtonem a rządem de Valery trwa. Jest on ogólnym w akcji Sprzymierzonych, zmierzającej do oczyszczenia rejonów przygotowań inwazyjnych od gniazd wywiadu nieprzyjacielskiego. Propozycje, wysunięte przez aliantów pod adresem rządu w Dublinie, mają zatem ten sam cel, co żądania zamknięcia konsulatów Osi w Tangerze, wiąże się z akcją, przeciw sieci niemieckiego szpiegostwa w Argentynie, Turcji.

Niemiecki wywiad kroczy utartymi szlakami, korzysta z pomocy irlandzkiej, chowa się za plecami skorumpowanych klik politycznych Ameryki Południowej, szuka kontaktów wśród sprzymierzeńców tamtej wojny.

Sprawy te, w których granicę między szpiegiem a dyplomatą i ślady ich wspólnej roboty zaciera tajemnica oraz eksterytorialność poselska, komplikują się jeszcze przez to, że często cała brudna robota odbywa się za dymną zasłoną ruchów ideowych o zabarwieniu społecznym czy narodowym. Różne Fa-langi, jugosłowiańscy ustaszy, macedońscy komitadzy, żelazni gwardiści lub wszelkiego ro-

daju inne związki patriotów bardzo często stają się agenturami, w których niejednokrotnie najlepsze chęci jednostek skierowane są ku celom zupełnie odmiennym. Mord w Sarajewie (1914), zamach w Marsylii (1935), przewroty w Rumunii, na Bliskim Wschodzie, zamach na Konowalca nie należą bynajmniej do kryminalnej historii świata, ale do dziejów i metod tej dyplomacji, której bohaterem jest „Niewidzialny człowiek”.

Tak bowiem określa dyplomatycznych „drahtziurów” słynny agent niemiecki z wojny poprzedniej, kapitan marynarki Rintelen von Kleist, który, złapany przez Anglików, po zawarciu pokoju wydaje książkę wspomnień o dyplomatyczno-szpiegowskiej i dywersyjnej robocie Niemiec z przedmową byłego szefa angielskiego wywiadu, King Hall'a.

Rintelen von Kleist ma poważny staż. Pracował w państwach neutralnych, był najbliższym pomocnikiem von Papena w Stanach Zjednoczonych i kierował tam akcją dywersyjną, której celem było opóźnienie i podrywanie dostaw materiałów wojennych dla sprzymierzonych. W tej robocie właśnie Pa-

Opieka nad europejskimi skarbami sztuki

Wiadomą jest rzeczą, że Niemcy wszystkie okupowane przez siebie kraje obrabowywali z dzieł sztuki. Robili to systematycznie — przed wojną niemieccy archeologowie i historycy sztuki objężdżali państwa europejskie i notowali godne kradzieży zabytki — zupełnie bezwstydnie. Niedawno ukazał się luksusowo wydany, zdobny w wielokolorowe reprodukcje katalog prywatnej galerii Hitlera w Linzu, wyliczający mnóstwo rzeźb i obrazów, pokradzionych w całej Europie. Powinno być z niego dużo pociechy przy rewindykcjach powojennych.

W Stanach Zjednoczonych powstała niedawno z inicjatywy prez. Roosevelta specjalna komisja dla opieki nad europejskimi zabytkami sztuki. Jej pełna nazwa brzmi: Amerykańska Komisja dla Opieki i Ocalenia Artystycznych i Historycznych Zabytków w Europie („American Commission for the Protectorate and Salvage of Artistic and Historic Monuments in Europe”). Na czele komisji stanął prezes sądu najwyższe-

go Owen Roberts, siedzibą jej jest National Gallery of Arts w Waszyngtonie.

Głównym zadaniem Komisji jest sporządzenie map zabytków artystycznych Europy. Przygotowano już 400 takich map, obejmujących kraje europejskie. Za pomocą systemu gwiazdek — jak w Baedekerze — ponadawano zabytkom cenzurki, klasyfikując je na mniej i bardziej ważne. Mapy te służą już dzisiaj dla orientacji lotnictwa bombowego Sprzymierzonych, główne swe zadanie spełnia jednak wtedy, kiedy armia desantowa Sprzymierzonych wylądowała na kontynencie europejskim.

Warto wreszcie dodać, że na Sycylii i w Neapolu konserwacja i restauracja zniszczonych zabytków zajmuje się specjalny dział Amgotu, Oddział Sztuk Pięknych („Fine Arts Division”). Współpracownikami jego są ludzie, którzy i w życiu cywilnym zajmowali się sztuką — konserwatorzy, artyści i t. d. — i którzy przeszli przez odpowiednie przeszkolenie.

ZDZISŁAW BRONCEL

POLSKI STAN SŁUŻBY

Ksawery Pruszyński: Walczymy. Jerozolim, 1943. Str. 142.

Cztery książki zyskały sobie największą popularność i największy pokup wśród żołnierzy polskich na Wschodzie: tom wierszy Broniewskiego „Bagnet na broni”, antologia Kurdybachy „Naród w walce”, przegląd historyczny Szułdrzyńskiego „Idea dziejowa państwa polskiego” oraz niewielki zbiór reportaży, opowiadań i opisów Pruszyńskiego, zatytułowany „Walczymy”.

Nie idzie tu o wartość poszczególnych tomów, z których jedne były przyjęte życzliwie, inne ostro krytykowane, lub gwałtownie chwalone, inne — jak Pruszyński — jeszcze nierecenzowane, ale o ich silę pokupną, o zainteresowanie żołnierza tytułem, o to, czego dziś pragnie ów najważniejszy czytelnik i na jakie pytania szuka on odpowiedzi.

Męskie i proste pieśni Broniewskiego uczą go pogody żołnierskiego życia, odrzucania trosk, wiary w walkę, w jej sens i niezawodny cel. Ale stare legionowe hasło „drogi do Polski” nie wystarcza temu piechurowi, który albo już sam tę drogę odbywał, albo ją zna z ojcowskich doświadczeń. Legun Piłsudskiego był strażnikiem gotowym paść w drodze pośpiesznej i ryzykanczej, miał jednak święte przekonanie, że kto raz do Polski dojdzie, ten już i zawsze w niej zostanie.

Dziś wizja dziejów Polski, układająca się przedtem w przeciętnej świadomości jako rozdzielone pośrodku ciemnością dwa wielkie skrzydła światła: tego — które było, i tego — które odtąd będzie, zmąciła swój układ: wyłania się nowa ciemność.

Katastrofa wrześniowa wywołała pytanie: dlaczego? Szukając odpowiedzi, uderzono najpierw w pierśi własne — i innych, alści potem, kiedy przyszło rozgrzeszenie, szary człowiek, pognany z ojczyzny na szeroki świat, zaczął ze zdumieniem słuchać, iż choćby nie zgrzeszył, wynik ostateczny byłby taki sam. Od oddania hołdu wrześniowemu bohaterstwu zrobiono mistyczny zwrot ku twierdzeniu, że wszystko działo się jak najlepiej i że daliśmy z siebie maximum naszych możliwości. A zresztą — przecinano dyskusję — nawet i gdyby 20 lat wolności minęły nam w wysiłku i pocie czoła, i tak stałaby nas na proch wobec ogólnej słabości świata niemiecka wojna. Może więc i lepiej się stało, że zdołaliśmy uniknąć wyczerpującej gospodarki, podnieść w kraju dobrobyt materialny, rozszerzyć oświatę i zostawić narodowi nieco więcej sił biologicznych i psychicznych na przetrwanie najcięższego okresu...

Ta metoda pocieszania, po wrześniowym przejęciu od mocarstwowych hasła do zaleszczyckiej decyzji, wszczała w duszę głęboki pesymizm. Było to typowe lekarstwo, gorsze od choroby: zdejmowanie ze społeczeństwa narodowej odpowiedzialności poprzez odbieranie mu wiary we własne siły. Wrzesień spełnił swą rolę ideową wobec świata, spełnił poważną rolę wojskową, w stopniu nie mniejszym niż zasobna Francja, tym niemniej dla nas oznaczał upadek państwa, dla jednych — tułaczkę, dla drugih — niewolę, dla wielu — śmierć. Tej prawdy nieczym nie podoła się zasłonić, o ile zaś ciężko jest ją przyjąć, o ile ciężkiej jeszcze byłoby sobie powiedzieć, że w przyszłości każdej chwili możemy być narażeni na to samo, ponieważ nie jesteśmy w stanie zapobiec powtórnej groźbie. Człowiekowi choremu wolno odkryć powagę jego stanu, jeżeli równocześnie darzy się go wiarą we własne siły — wydanie wyroku, iż wszystko zależy od czynników, leżących poza jego wolą i mocą, musi wywoływać spustoszenia psychiczne.

I odruch ratunku. Książka Szułdrzyńskiego, bez względu na to jak jest napisana i jaki ma stopień realności politycznej, już przez samą swą tendencję chloroformuje ów odruch rozpacy u ludzi, których chciano pocieszać wprawianiem bezsilności i nieodpowiedzialności własnego narodu. Przypomnienie jagiellońskiego okresu chwały ożywia wiarę w narodową godność i zdolność, a szukanie w naszej historii dziejowej misji i podnoszenie polskich celów politycznych do rangi metafizycznej, jakkolwiek było rozumowaniem mocno zaprawionym mesjanizmem, przecież przynosi wreszcie tę tak upragnioną nadzieję.

W obecnej sytuacji, kiedy coraz wyraźniej występująca dąży do brutalnych rozstrzygnięć podkreśla naszą przejściową słabość materialną, książka Pruszyńskiego „Walczymy” spełnia podobne zadanie pokrzepiające. Zadanie zresztą ponad zamierzenie skromnej broszury, która miała być tylko informacją i przewodnikiem wśród 1939-1942 dla żołnierzy, przebywających z Rosji. Ale przecież dokumenty przeszłości są albo krzepiące, albo przygnębiające, więc wolno jej 142 stronom przyznać ten czarodziejski ciężar, od którego plecak żołnierski czyni się lżejszy w tysiącmilowym pochodzie.

Armia polska na Wschodzie, poza kadraj, czerpaną z dawnej Brygady Karpackiej, i poza instruktorami, przysyłanymi z Anglii, składała się z ludzi, wypuszczonych z więzień. Jej żołnierze, często dopiero z chwilą wyjścia na wolność dowiadawali się o upadku Francji, o wyprawie narwickiej, bitwie nad Anglią i premierostwie Churchilla. Konieczność napisania dla nich książki informacyjnej była palącą. Musiały to być rzeczy podane prosto i łatwo, ale w formie dostatecznie pociągają-

cej, przy tym zaś z tą rzetelnością i właściwym wymiarem perspektywy, jakiej można było żądać od powstającej w ten sposób pierwszej historii polskich walk po r. 1939.

Pruszyński, licząc się z szerokim kołem czytelników, zamiast ciągłego opowiadania, starał się raczej poszczególnie bardziej interesujące epizody rozwijać w formę niewielkich nowel. Osłabiało to wartość informacyjną książki, ale nie osłabiło wrażenia, jakiego doznaje czytelnik i jakie zawiera się w tytule.

Dziś, gdy coraz częściej zjawiają się próby uszczuplania naszych praw i gdy zaniepokojony żołnierz szuka dla nich jeszcze innej legitymacji poza historią — znajduje ją w poczuciu, iż Polska ani na chwilę nie przetrwała zapasów ponad siły z niemieckim wrogiem, ani na chwilę nie zwątpiła, a ciągłość jej wkładu we wspólną wojnę nie ma w świecie równego. Jesteśmy narodem walczącym najdłużej, najciężej i mającym za sobą okresy, gdy dźwigaliśmy cały ciężar wojny, bez drobnego nawet ułamka tej pomocy, jaką w tej chwili otrzymuje obecny sojusznik front wschodni. Ta polska nieugiętość moralna musi budzić, wbrew wszelkim koniunkturalom, refleksję, jak skutecznym sojusznikiem potrafiłby być wyposażony w odpowiednią siłę naród, podobnie wierny swym ideałom. Rozdział o Polsce podziemnej przypomina wreszcie, iż nie wydaliśmy nigdy quislinga — jest to dla żołnierza moralne umocnienie w postanowieniu, ażeby kompromis, przekreślający polskie racje państwowe, nie zjawił się nigdy w jego myślach.

Odyseja „Orla”, przedarcie się „Wilka”, walki kontrtorpedowców u wybrzeży Norwegii należą do najpopularniejszych epizodów wojennych — Pruszyński podkreśla obok nich inny, mniej znany, tonący bardziej w masie wydarzeń, wyczyn polskich kontrtorpedowców. W świetle krótkiego, ale przejmującego opowiadania marynarza z „Byskawicy” można pojąć, czemu Churchill miał odwagę paradoksalnie nazwać Dunkierkę brytyjskim zwycięstwem i jak prostacko myliła się niemiecka propaganda, wysławiając to określenie. Nie była oczywiście Dunkierka powodzeniem wojskowym, stanowiąc natomiast wysoko zdany egzamin charakteru. Naród, który wykazał taką determinację, nie mógł przegrać wojny. Nie zrozumieli tego Niemcy. Natomiast zrozumieli i zapamiętali marynarka brytyjska, że w Dunkierce współuczestniczyła flota polska, a ciężko uszkodzona „Burza” ledwie dopłynęła do portu tylko dzięki uporowi polskich marynarzy.

Drugim krzepiącym momentem jest udział polskich lotników w bitwie nad Anglią. Rozpoczął się on startem bojowym dywizjonu „303” w dn. 31 sierpnia 1940 r., równo w rok od pierwszych walk lotniczych nad Polską. Ale tym razem nie powtórzyl się już ani nasz wrzesień, ani francuski czerwiec. Lotnik otrzymał nareszcie aparat, zdolny do przeciwstawienia się niemieckim Messerschmidtom 109 i 110 i odpowiedni dla jego temperamentu bojowego. Rychło lotnictwo z eskadrą Kościuszkowską na czele stwarza swoją legendę, we wrześniu 1940 r., wśród największego nasilenia zdobywając pierwsze miejsce pośród całego lotnictwa alianckiego, strącając 126 i pół samolotów nieprzyjacielskich kosztem minimalnych strat własnych.

ALEKSANDER JANTA

MILCZYSZ

Milczysz
miły, daleki, nieobecny od tylu lat.
Myślisz
nie ma pociechy dla młodości Twojej z za krat.
Milczę —
w druty się zaplątał ten czas, którego ci brak.
Myślę —
gorzkie istnienie, nienawiści i lęku smak.
Brzegiem
bytu i śmierci toczy się z losem spór.
Biegiem
drog niebezpiecznych. Pod ciężkim sklepem chmur.
Dmuchał
piachem w twarz wicher. W oczy dmie pył i proch.
Głuchną
sygnały ciche jak o ścianę rzucany groch...

WIERSZ Z LONDYNU

Roztarty świt, widno we mgłach,
sen bez rysunku —
dobry Londyn naszego ratunku
po czarnych dniach.

Światlistych słupów biega blask
w niebie nad nami,
długimi kłują noc palcami
i aż po brzask.

Błękit. A w chmurach, albo pod,
srebrzyste wieloryby —
warczą nad nimi śmigłe tryby,
zwycięski lot.

Ta sama znamienna cecha — wykazanie zwycięskich możliwości żołnierza, gdy tylko choć trochę zmniejszy się w wyposażeniu dysproporcja w stosunku do broni niemieckiej — cecha, napełniająca dumą i ufnością, a zarazem boleścią, gdy wspomnieć Wrzesień — powtarza się w wyprawie narwickiej. Piechota niemiecka posiadała wówczas więcej od Polaków broni maszynowej, świetnie w bliskiej walce pistolety automatyczne, znacznie więcej moździerzy; ponadto zajmowała umocnione stanowiska obronne. Mimo to nie tylko została pobita, lecz została na placu — wbrew regułom wojny — znacznie więcej zabitych, rannych i jeńców. Zdobył Ankenes było pierwszym zwycięskim starciem piechoty polskiej z niemiecką od daty wrześniowej. Jeńcy nie posiadali się ze zdumienia, dowiadując się, iż są w rękach Polaków: nie łatwo z tą Polską skończyć! — powiadali sobie i ten to morał i dziś jeszcze z owej karty nasz żołnierz potrafi wyczytać.

Mimo tych zalet swego optymizmu książka Pruszyńskiego nie jest wystarczająca. Brak jej kośca historycznego, tej kanwy dat i wydarzeń, na której dopiero snuje się anegdota. Nie we wszystkich rozdziałach fakty są dostatecznie podane i zgrupowane, co oczywiście nie stanowi obowiązku każdej książki o wojsku po r. 1939, powinno jednak być obowiązkiem tej, która jest jak dotąd jedyną i najbardziej podręczną.

Braki wynikiły prawdopodobnie stąd, iż tego rodzaju prace należało specjalnie dla takiego celu pomyśleć i napisać, tymczasem treściowo i literacko bardzo zmienny poziom poszczególnych rozdziałów wskazuje, że autor stworzył rdzeń książki ze swych kilku udanych reportaży lotniczych, dopisując do nich początek i koniec, z pośpiechem widocznym wyraźnie w niedbałościach stylu i języka. Najlepszy jest wycinek z historii dywizjonu „303”, mieszczący to wszystko, co tego rodzaju opowiadanie powinno zawierać: szkielek faktów i chronologii, potoczystą narrację, momenty nowelistyczne. W charakterystyce młodzieńczego squadron-leadera Henneberga, którym mógłby być sieniawicowski Staś Tarkowski, odzywa się pióro autora świetnych reportaży. Narvik posiada autentyczność szczegółów, nie ma jednak tego napięcia, co opowiadanie marynarza, mimo że Pruszyński sam prowadził drużynę strzelecką na Ankenes.

Najbardziej wypadła ta część książki, gdzie autor ani nie opowiada wrażeń osobistych, ani nie cytuje cudzych, gdzie opowieść zamienia się w dość nudny artykuł. Odczuwamy to najbardziej przy tak patetycznym w rzeczywistości rozdziale walk, jak boje I i II-ej Dywizji Grenadierów we Francji, podane bardzo schematycznie, lub przy tak barwnym temacie, jak dzieje Brygady Karpackiej, Tobruk i Gazala — owa Somosierra polskiej piechoty! — zaszużyły ledwie na parowyrzową wzmiankę.

To pominięcie obciąża już dość poważnie. W zakresie wojny lądowej atak pod Gazalą był jedną z największych polskich bitew po r. 1939, i co najważniejsze, obok szturm na Ankenes — był bitwą zwycięską. Brygada Karpacka, rozrastając się do Dywizji, przekazała swoje afrykańskie tradycje całej Armii

Polskiej na Wschodzie, i o niej też powinien żołnierz najwięcej wiedzieć. Z książki Pruszyńskiego nie dowie się nawet nazwiska jej dowódcy.

Największe wreszcie zastrzeżenie budzi rozdział wstępny, omawiający tragiczne zakończenie kampanii wrześniowej. Miał on wytknąć żołnierzowi konieczność i rozsądną rację ewakuacji znacznej ilości lotników polskich, których tyle nasze wojsko widziało na zaleszczyckiej szosie, a rozrósł się do pobieżnego i przez to tym bardziej niebezpiecznego obrachunku z „bitwą polską”. W książce poświęconej dziejom wojska po r. 1939 starczyłoby odpowiednim celom krótkie informacje o decyzji wycofania personelu lotnictwa i wysłania marynarki do Anglii. Sąd nad kampanią wrześniową musi się odbywać i musi każdego doprowadzić do wyroku, któryby nas ustrzegł od powtórzenia dawnych błędów, ale ani ta popularna broszura żołnierska nie jest po temu miejscem właściwym, ani tych kilka stron wstępnych nie jest miejscem wystarczającym.

Stanowisko Pruszyńskiego zawiera w sobie ostry atak na odwrót zaleszczycki. Poprzez zimne słowa przebiega niezbyt zatajone poczucie autora, iż odwrót ten był hanbą. Trudno bronić jego często aż luksusowych form, dalekich od bohaterstwa i od rezygnacji wygnania, przecież nie w samym przebiegu Dniestru tkwiło największe żło. Skupienie krytyki na jednym fakcie jest równie szkodliwe, jak wprawianie, iż zaleszczycka karawana niemal leżała w planach Naczelnego Dowództwa.

Decyzja rządu opuszczenia Polski, podjęta 17 września, była decyzją naturalną i jej samej trudno zarzucić coś więcej ponad to, iż rząd nie pozostawił w kraju swego pełnomocnika. Poza tym zaś emigracji władz naczelnych Rzplitej zawdzięczamy legalność obecnego rządu w Londynie. Kwestia pozostania Naczelnego Wodza w Kraju, gdzie toczyła się jeszcze walka, była sprawą obowiązku, honoru i odwagi ponoszenia odpowiedzialności, ale już nie interesu wojskowego.

Istota zaś rzeczy tkwi w tym, że ani nasza polityka, ani wpływ aliantów, nie potrafiły zapewnić bezpieczeństwa granicy wschodniej. Polityka przedwrześniowa prowadzona była na wyrost, na mocarstwowy, jagielloński wyrost na zewnątrz — z antyjagiellońską polityką na wewnątrz; zaplątano się w nią potem, jak w przydługie spodnie. Podobnie i plan kampanii był ułożony na wyrost — nie tylko, że nie było, jak wspomina Pruszyński, „niejasnych planów” stworzenia grupy uderzeniowej na poł-wschodzie, lecz w ogóle wariant trójkąta nad Dniestrem w planach sztabowych nie istniał. Stworzono go w ostatniej chwili, usiłując skupiać tu ludzi i wojsko wszelkimi środkami, nawet przy pomocy fantastycznych pogłosek o pomocy rumuńskiej. I nie owe pogłoski są błędem i grzechem, choć tak łatwo na nie jak na wszelkie zresztą pozory skierować odium, lecz błędne przeświadczenie, że opór nad Dniestrem może mieć sens, gdy stanowisko sowieckie jest niepewne, oraz — po drugie — nieprzygotowanie nadniestrzańskiego ośrodka koncentracji, jeżeli zawczasu wiadano, iż trwały opór na linii Wisły jest nie do osiągnięcia.

Przed wrześniem i we wrześniu nie zdawano sobie sprawy z rzeczywistości. Płk. Umiastowski usiłuje dziś wmówić w „Bitwę polską”, iż Naczelne Dowództwo w pełni przewidywało niewesołe możliwości oporu. Gdyby tak było — inaczej wyglądałby trójkąt nadniestrzański, inaczej też wyglądałoby dyskonto polityczne kampanii, której każdy dzień więcej mógł siał wiarę w polską zdolność przewidywania, oceniania i operowania swymi rzeczywistymi siłami.

Nie wątpi nikt o dobrych intencjach w przygotowaniach rządów przedwrześniowych obrony granic, i lżenie min. Becka jako jakiegoś rzekomego agenta Niemiec jest nonsensem i świadczyć tylko może o złej woli. Niestety, praktyka wykazała, że zapewnienie uczciwości i wiara społeczeństwa, że rządzący „chcą jak najlepiej”, nie zastąpią fachowości tak samo jak nazwa „Sanacja” nie gwarantuje, iż dobre intencje doprowadzą do dobrych rezultatów.

Trudnych tych spraw nie należy ani zatajać, ani pomijać. Poruszenie ich jednak mimochodem w książce o wojsku na obczyźnie nie było ani potrzebne, ani współmierne z powagą tematu, ani wreszcie dostatecznie ściśle.

Dość było poprzestać na uwadze, wyrażonej w rozdziale o wojsku w Szkocji: „Nie doceniono zawczasu, jak wielkim pożytkiem dla Polski, w której inteligencję przetrzebiono doszczętnie, byłby powrót z obczyzny całej kadry ludzi młodych, wykształconych na świetnych uczelniach angielskich. Szereg jednostek na własną rękę, korzystając z nikłej pomocy, starał się jak mógł wyzyskać w pełni ów pobyt na Zachodzie. I napewno ci wszyscy, którzy zastój szkocki należą do wyzyskali, dobrze zażyli się Rzeczypospolitą, wygrali niejedną Narvik i niejedną Tobruk. Ci zaś, którzy w tym nie dopomogli, czy zgola przeszkadzali, będą mieli po powrocie do Polski, za co się rumienić”.

KIEDY SIĘ SKOŃCZY WOJNA? Z PRASY OBCEJ

CZYLI: WSZYSTKIE OKNA HOTELU „BRI STOL“ JUŻ WYCHODZĄ NA
UNTER DEN LINDEN

Motto:
Pogadać czas — rzekł stary mors —
o ludziach i zwierzętach,
kapuście, wojnie, królach, łzach,
o statkach i okrętach,
(z angielskiej ballady pirackiej)

Nikomiu nie przyjdzie do głowy myśleć dyskwalifikowania ministrów czy dowódców wojskowych dlatego, że nie potrafili oni odgadnąć (lub „planować“) czasu trwania wojny. Clausewitz był mądry i ustalił, że wojna jest dalszym ciągiem polityki, realizowanej innymi środkami. Ale żaden mędrzec nie potrafił opanować tych „innych środków“ na tyle, by móc określić, kiedy skończy się ich użycie, tak jak się określa termin ich uruchomienia.

Mówiono, że podobno w poprzedniej wojnie światowej jeden jedyny lord Kitchener odgadł, kiedy się ona skończy. Ale, jak wiadomo, Kitchener utonął jeszcze podczas trwania bojów — i to w okolicznościach nie zupełnie wyjaśnionych — a o wielkim nieboszczyku przecież stale opowiada się różne legendy.

Należy dlatego raczej uwierzyć w wypadek, który miał miejsce z marszałkiem Fochem, gdy stał się on pierwszoplanową postacią alianckich dowództwa. Otóż, pewnego razu, dziennikarze uwieźli się na szofera Focha, przyrzekając mu ładną premię, jeśli wysonduje miarodajną opinię swego szefa, kiedy się nareszcie skończy wojna. Zapowiedź tego napiwka podniecała kierowcę i kiedy niebawem wyjechali we dwójkę na dłuższą przejażdżkę, w szoferskiej głowie już zaczął kielkować plan okrzężnej rozmowy, ukoronowanej cennym wyznaniem. Nie było mu jednak sądzono wzbogacić się na dziennikarzach. Nie zdążył bowiem otworzyć ust, gdy padło zmęczone pytanie marszałka Focha: „Jak sądzisz, kiedy się skończy ta wojna?“

Napiwek przepadł, ale pozostała nauka: nie szukać u wojskowych klucza do zagadki końca wojny. Naukę tę, zresztą, ujął Clemenceau w formułę, że „pokój jest zbyt poważną sprawą, by ją poruczać generałom“.

Ale co mówić o wojnie światowej, kiedy nawet taka boerska wojenka, planowana na trzy miesiące, trwała trzy lata, pochłaniając sumy dziesięciokrotnie większe od preliminowanych. To też na ogół szanujący się mężowie stanu i wodzowie nie zapowiadali terminów ostatecznych zwycięstw, trzymając się raczej ostrożnej metody Focha.

W r. 1936 zasady te naruszył gen. Franco. Po pierwszych powodzeniach na froncie centralnym oświadczył on, że za tydzień będzie popijał czarną kawę na centralnym skwerze madryckim. Wypit ją dopiero — po dwóch latach.

Ale też Franco nie był uczniem Focha, lecz Pétain'a (gdy ten wykladał w Akademii Wojskowej Republiki Francuskiej). A mylenie się w ocenie sytuacji i możliwościach wojennych przeciwko samemu mistrza doprowadziło do tragedii pomyłek pod znakiem Vichy. Nie pomógł nawet perswazje Churchill'a.

André Maurois, który pełnił wówczas służbę oficera łącznikowego przy dowództwie Sprzymierzonych, opowiada, że gdy angielski premier błagał Francuzów o przedłużenie oporu, proponował nawet wspólne angielsko-francuskie imperium z połączonym rządem (z Francuzem na czele), byle tylko natchnąć Francję wolą dalszej walki, aż Anglia zdoła zmobilizować swą potęgę — generał Weygand odrzekł, że Francuzi nie mogą tak długo czekać. Był nawet tak szorstki, że przypomniał wypadek z pewnym oficerem angielskim, który, otoczony przez Boerów, przeciwko poddał się, nie czekając wcale, aż przyjdzie mu z pomocą cała potęga Brytyjskiego Imperium. Był to nietakt, albowiem owym oficerem był Winston Churchill (jego ucieczka z niewoli boerskiej była, zresztą, jedną z najbardziej fascynujących i propagandowych epizodów owej niepopularnej wojny).

Dzisiaj mówi się, że Weygand nigdy nie wierzył w zwycięstwo Niemiec, że podobno Pétain tylko czeka na ich klęskę, dziś — kiedy dziennikarze nawet bez łaski szoferów już dzielą skórę po „nowym ładzie“, a roztrzęsiani profesorowie układają dokładne mapy ze „strefami wpływów“. Są oni mądrzy po szkodzi Niemiec, dziś kiedy Wiktor Emanuel jest w tym samym obozie, co Heile Selassie, a

Mołotow krytykuje Turków za ich neutralność wobec Ribbentropa.

W lipcu—sierpniu 1940 r. inaczej było z przewidywaniami losów wojny nie tylko w opinii ludzi małych, ale i wśród miarodajnych ministrów i wodzów, udających dzisiaj, że oni „od pierwszej chwili“ i t. d. Dla przykładu wypadek z p. Franzem Bulbockiem.

Ależ skąd tu Franz i jeszcze Bulbock? — zapyta zrytowany czytelnik. Przecież mowa była o generałach Vichy, o królu włoskim, o Mołotowie i Ribbentropie.

Otóż bardzo na miejscu. Albowiem p. Bulbock, zarówno jak wyliczeni wyżej panowie, wierzył mocno w umowę sowiecko-niemiecką, zwycięstwo Niemiec i — w związku z tym — w szybki koniec wojny. Nie będąc ministrem, nie mógł p. Bulbock przystąpić do żadnego paktu, a będąc Niemcem, nie mógł zostać Quislingiem; nie będąc dziennikarzem, nie mógł p. Bulbock pisać patetycznych artykułów, ale będąc dyrektorem hotelu „Bristol“ w Berlinie, Unter den Linden, 65, miał pełne prawo napisać taki list, który obecnie na pośmiewisko sfotografowała niemiecka, demokratyczna (bo wychodząca w szwajcarskim Zürichu) gazeta „Die Nation“:

„HOTEL „BRISTOL“ 24 sierpnia 1940 r.
Berlin
Unter den Linden, 65.

Szanowny Panie (imię jest wykreślone)

Niniejszym potwierdzamy odbiór listu Szanownego Pana z dn. 22 sierpnia 1940 r. i rezerwujemy dla Pana od dnia 23 b. m. b. r. pokój z widokiem na Unter den Linden; cena — jak dla gości stałych — 25 RM, na okres dziesięciu dni. Zwracamy uwagę Szanownego Pana, że popyt ze strony naszych stałych gości, a mianowicie tych, którzy przyjeżdżają do pokoju, w Niemczech ogólnie przekonanie, że wojna skończy się niebawem, a przyrzekłszy naszym stałym bywalcem zastrzec dla nich pokój (po 4—5 osób w pokoju), o oknach, wychodzących na Unter den Linden, na czas, gdy będzie tam defilowało wojsko. Obowiązuję to również Szanownego Pana, jeśli będzie Pan w Berlinie w okresie przemarszu zwycięskiego wojska. Nie możemy przeto zezwolić, aby do pokoju mogli wówczas wchodzić znajomi naszych gości, gdyż tylko czwarta część pokoiów ma widok na Unter den Linden, a Szanowny Pan rozumie, iż musimy dbać przede wszystkim o to, aby nasi stałi goście mogli oglądać defiladę wojskową.

Mamy nadzieję, że Szanowny Pan zgodzi się na nasze warunki“.

Prawdopodobnie Szanowny Pan zgodziłby się na powyższe warunki. Ale chyba pan Bulbock „sam rozumie“, że trudno wymagać, aby neutralny Szwajcar płacił po 25 RM i w ciasnym pokoju (4—5 osób, prawda, z widokiem na Unter den Linden) czekał całe cztery lata na defiladę niemieckiego zwycięskiego wojska, której — nie będzie. A od czasu zwiastują, gdy lotnicy RAF'u i USA częściej odwiedzają zaczęli Berlin, nawet dla stałych gości pobyt w „Bristolu“ jest mało atrakcyjny.

Ale za to dzisiaj już cały „Bristol“ jest jednym oknem z widokiem na Unter den Linden.

*

Pomylił się Hitler, pomylił się Pétain, pomylił się i p. Bulbock z widokiem na Unter den Linden. A jednak wciąż jeszcze ludzie wielcy i mali nie tracą ochoty do dokładnego odgadywania wypadków wojennych, a pewne czasopismo angielskie wydrukowało nawet mapę z podziałem okupacji Niemiec po zwycięstwie: sier i mót sowieckie na Prusach Wschodnich: Union Jack — na zachodzie, sztandar gwiazdzysty na południu, oraz wszystkie trzy w Berlinie. Ani sztandar francji, ani Polski, czy Jugosławii nie powieja nad mapą angielskiego Bulbocka, który wzorem swego niemieckiego odpowiednika patrzy na świat przez jedno tylko okno. Widocznie jeszcze hasło Joe Chamberlaina, aby każde dziecko angielskie nauczyło się myśleć kontynentami — nie zostało zrealizowane.

gt.

Revolucja gospodarcza w Europie

Liberalny tygodnik „Economist“ z dn. 19 lutego kreśli przemiany, które nastąpiły w Europie pod wpływem okupacji i panowania Niemiec. Po pierwszej wojnie światowej rozpadły się trzy potężne monarchie. W Rosji nastąpiła rewolucja. Ale przemiany, zapadłe w czasie tej wojny, i ich zasięg na kontynencie europejskim są tak wielkie, że nie dadzą się porównać z żadną rewolucją. Powrotu do wczoraj nie ma. Przeważające i wywłaszczanie wszystkich klas społecznych krajów okupowanych na rzecz Niemiec, postawienie tych krajów, jako wyjętych spod prawa („outlaw“) — tworzy samo w sobie problem nader ważny. Grube pakiety akcji przedsiębiorstw można odnaleźć i ustalić własność wielkich firm i fabryk, ale jak odrobić wywłaszczenie, dokonane wobec drobnych posiadaczy klasy średniej? Przewastowanie społeczne powstaje i na innej płaszczyźnie. Kwitną we Francji i w Polsce oraz w krajach bałkańskich czarne giełdy i czarne rynki. Wiele czasu upłyne, zanim uda się przywrócić w Europie dyscyplinę gospodarczą. Ludzie, którzy zajmują się czarnymi rynkami, pochodzą często z nieoczekiwanych środowisk. Są to profesorowie uniwersytetów, pozbawieni katedr, dziennikarze, prawnicy, zdeklasowani przez wojnę inteligencja. „Czarne giełdy są również wyłęgarniami nowych warstw średnich, parweniuszy drugiej wojny światowej i spekulantów wojny europejskiej“.

„Economist“ w ponurych barwach maluje losy europejskich w okolicach, gdzie działają partyzanci i „ludzie leśni“, którzy rabują wieś, zabierają żywność i dobytek, co zmusza wieśniaków w obawie przed represjami niemieckimi do ucieczki w lasy i w góry, by powiększyć szeregi tych „ludzi leśnych“. A więc i w szeregach są nie tylko bojownicy i partyzanci, lecz poprostu zbiegowie przed represjami niemieckimi. Są to wszystko ludzie „wyjęci spod prawa“. Rok temu leśni ludzie istnieli chyba tylko w Jugosławii, w stepach Ukrainy i bagnach i lasach Wschodniej Polski. Ale w miarę posuwania się armii sowieckiej na zachód, ludzie leśni sięgają do granic Rzeszy. Inwazja aliancka jeszcze bardziej skomplikuje sytuację. Charakteryzując nastroje polityczne w Europie, autor artykułu stwierdza, że walka jest tak ciężka i absorbująca, iż na ogół biorąc, nie ma czasu na myślenie polityczne. Zresztą partie polityczne zostały zmiażdżone, przywódcy zostali wymordowani lub uwięzieni przez Niemców. Kierując akcją tylko „podoficerowie i szeregowi ruchów politycznych“. Autor wyróżnia dwa odcienie ruchów politycznych: głęboki i zacięty, a prymitywny nacjonalizm, raczej instynktowy, niż polityczny, oraz „dość nieokreślony radykalizm społeczny“. W większości krajów kolaboranciści (z Niemcami) pochodzili przeważnie, choć nie zawsze, ze skrajnej lewicy i warstw wyższych. „Obecny radykalizm jest bardziej żywiołowy, niż po ostatniej wojnie, ale gorzej zorganizowany“. Autor wierzy w zdolność regeneracji Europy, podkreślając, że pomoc powinna przyjść z zewnątrz. Będzie też potrzebne są z zewnątrz.

Stanowisko Turcji

Na temat stanowiska Turcji pisze znakomity, francuski publicysta Pertinax w „New York Herald Tribune“ z dnia 23 lutego br.:

„Nieoczekiwane przesunięcie nastąpiło w postawie rządu tureckiego wobec Rosji. Nie oskarża się więcej w Ankarze Związku Sowieckiego o żywie nie ukrytych zamiarów na Bałkanach i gdzie indziej.“

Nie dawno jeden z zagranicznych przedstawicieli dyplomatycznych z pewnym zdziwieniem słuchał, jak wysoki turecki urzędnik dyplomatyczny, mówił o zmianach konstytucji sowieckiej, przynależących szesnastu republikom pełną autonomię w sprawach dyplomatycznych i wojskowych, „bardzo odważne posunięcie, które na pewno będzie miało daleko idące konsekwencje natury międzynarodowej“, — mówił ów dyplomata — „sprawi ono, iż Rosja będzie dużo silniej związana z państwami sąsiednimi niż kiedykolwiek w przeszłości“.

Jeszcze kilka tygodni przedtem turecy mówili o stanie uderzenia w zupełnie inne tony. Skarżyli się oni, że ani Anglicy, ani Amerykanie nie starają się sparać rosyjskiego niebezpieczeństwa, ciężącego nad tureckimi interesami narodowymi.

Jak taka nagła zmiana mogła się dokonać i co ona znaczy?

Odpowiedzią jest, że w trakcie długich rozmów rządowych, które rozpoczęły się w Ankarze w grudniu ub. r., kiedy prezydent İsmet İnönü wrócił ze swej konferencji kairskiej z prez. Rooseveltem i z premierem Churchill'em, perspektywy przyłączenia się w wojnie do Sprzymierzonych nie uznano za zbyt pożyteczne. Prez. İnönü i jego doradcy odpowiedzieli Rooseveltowi i Churchillowi, że muszą rozważyć na nowo cały problem stosunków zagranicznych Turcji i że około 15 lutego ustala ostatecznie linię swej polityki zagranicznej. 14 lutego prasa turecka ujawniła, iż rokowania z rządem brytyjskim zostały zakończono i redakto-ry tureccy zaczęli atakować brytyjską interpretację traktatu przymierza z 1939 r., podczas gdy — powoli, stopniowo — stosunki turecko-rosyjskie były przedstawiane w bardziej przyjaznym świetle, niż poprzednio. Tak więc w sposób dosyć paradoksalny próba wciągnięcia Turcji do wojny, o której się mówiło, iż została dokonana na żądanie premiera Stalina, doprowadziło do rozluźnienia więzów z Wielką Brytanią i do zbliżenia z Rosją“.

Wrażenia z Francji

W londyńskim tygodniku „The Listener“ w numerze z dn. 2 marca brygadier James Hargest dzieli się z czytelnikami swymi wrażeniami z Francji, w której był niedawno, w charakterze, rzecz prosta, nieoficjalnym:

Niemcy starają się zaskarbić sobie względy Francuzów: „Każdego wieczoru odjeżdżają z północy pociągi, przepełnione żołnierzami, jadącymi na urlop na Riwierę. Zdaje się, iż wolą oni spędzać swój urlop na Południu Francji niż u siebie, w bombardowanym Vaterlandzie; trudno im się dziwić. Nie dostrzeże się u nich żadnych objawów arogancji. Przeciwnie, robi to wrażenie niemal że patetyczne, gdy się widzi, jak wychodzą ze skóry, ażeby się spodobać Francuzom. Ustupają miejsca kobietom, można ich widzieć stojących w zastępstwie w ogonkach, zwracając uwagę na to, aby

przy każdej okazji dziękować, tak jak dobrze wychowane dzieci“.

A reakcja Francuzów? „Przypominam sobie, jak pewnego poranku znalazłem się w izbie, w której siedziało kilku robotników francuskich i do której wszedł niemiecki feldfibel. Nie wywołało to zamieszania, ale jeden za drugim wszyscy oni obrócili się plecami do niego. Nie znali mnie, ale wiedzieli, że nie jestem Niemcem, i zrobili mi miejsce bliżej kominka. A niemiecki feldfibel stał z tyłu, stukając z zakłopotania w fajeczkę i mając przed sobą rząd pleców. Atmosfera zrobiła się tak mroźna, że wyszedł...“

Francuzi nie są zniewieściali. Ja przynajmniej nie widziałem żadnych śladów zniewieściałości. Są zadziwiająco czynni i męscy jak na naród, który znajduje się pod batem najeźdźcy już trzy i pół roku i którego pozabawiono wolności w stopniu, zupełnie dla nich nie do pojęcia. Widziałem oznaki wielkiej biedy. Tak jest, ubrania ich są poprzecierane, twarze wyciągnęły się i są blade, ale głowy trzymają wysoko. Obserwowałem ich na stacjach kolejowych i na ulicach. Śmieją się co prawda teraz rzadziej niż dawniej, rozmawiają między sobą mniej, zwłaszcza w pociągach i tramwajach, i przez to są podobniejsi do nas. Ubrani są zato nędznie...“

Jaki jest stosunek narodu francuskiego do Vichy? Oto pytanie, z którym stale się spotykam. Rozmawiałem z najrozmaitszymi ludźmi, i na tym punkcie wszyscy byli zgodni. Przeklinają oni rząd, gardzą Laval'em i chcą pozabijać kolaborantów. Dla marsz. Pétaina czują tylko pogardę. Początkowo mieli do niego zaufanie, szanowali jego wiek, dzisiaj uczucia te przeszły w uczucie gniewu. Rzecz prosta, Vichy ma swoich zwolenników, zwłaszcza wśród młodych chłopców, których łatwiej można było uwieść na wyznawców hitlerowskich ideałów. Zaciągali się oni do t. zw. vichystowskiej milicji. I teraz, kiedy jest już rzeczą oczywistą, że Niemcy zostaną pobici, ci młodzi ludzie się zawzięli i są bardziej niemieccy od samych Niemców. Używa się ich dla szerzenia terroru i kiedy armia niemiecka zostanie zmuszona do wycofania się z Francji, milicja vichystowska będzie musiała odejść razem z nią; pozostanie we Francji na pewno nie będzie dla jej członków rzeczą bezpieczną“.

Dlaczego de Gaulle zwycięży?

Przyczyny zwycięstwa de Gaulle'a analizuje Edouard Pfeiffer, jeden z wybitniejszych dziennikarzy francuskich i polityków z partii radykalnej, żyjący obecnie w Ameryce, w styczniowym zeszy-cie nowojorskiego miesięcznika „The American Mercury“. Czytamy tam:

„Przedwojenna Francja była czasami wysmiewana z powodu częstych kryzysów ministerialnych; ale na jej szachownicy politycznej nie było nigdy tyle zmian, co po klęsce. Pomiędzy czerwcem 1940 a listopadem 1942 marsz. Pétain zmienił swój gabinet pół tuzina razy; aresztował on kilku ze swoich byłych ministrów, a Pierre Laval doszedł do władzy z więzienia. Pomiędzy listopadem 1942 a listopadem 1943 Północna Afryka widziała cztery reżimy: admirała Darlana, gen. de Gaulle'a, Narodowego Komitetu Odrodzenia pod podwójnym kierownictwem Girauda i de Gaulle'a i wreszcie tego samego Komitetu pod wyłącznym kierownictwem de Gaulle'a.“

Anglicy i Amerykanie w ciągu tych trzech lat starali się znaleźć swą drogę w tym powikłaniu, a nie było to rzeczą łatwą; odnieśli się oni najpierw wrogo, a potem przyjaźnie do Darlana, serdecznie, a potem z rezerwą do de Gaulle'a. Jakże są przyczyny tego oczywistego zamieszania? Dlaczego wszyscy inni przewodcy zniknęli ze sceny politycznej, pozostawiając tylko de Gaulle'a?“

W pierwszych miesiącach po kapitulacji Pétain był bardzo popularny we Francji. Ale już począwszy od listopada 1940 r. gwałtownie go poczęła blaknąć. Przyczyn szukać należy w trudnościach wewnętrznych, braku żywności, a przede wszystkim w upokarzających ustępstwach wobec Niemców. Wybuch wojny sowiecko-niemieckiej i przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny oznaczały dalsze etapy upadku popularności Pétaina. „Popularność marsz. Pétaina zaczęła gasnąć, a ludzie prawnicy, którzy poszli za nim, dzielili jego los“.

W listopadzie 1942 przyszedł coup de grace: Ameryka zajęła Północną Afrykę i Niemcy najechali „wolną strefę“. Zwolennicy marszałka, którzy myśleli, że zdecydował się on na niepopularność, aby odłożyć atak na Hitlera do odpowiedniego momentu, mieli nadzieję, że teraz wypowie on wojnę Niemcom. Darlan namawiał go na to. Pétain po pewnych wahaniach odmówił. Od tego czasu jest on nie wiele czym więcej jak żywym trupem, podczas gdy Pierre Laval, jego wyznaczony następca, jest obiektem szczególnej awersji mas.

De Gaulle był jedynym człowiekiem we Francji, który skorzystał z tego zdecydowanego przesunięcia w opinii publicznej. Ale w Północnej Afryce gwałtownie go nie błyszczała jasno. Algier był zupełnie niepodobny do europejskiej Francji. Nie doświadczył on inwazji, jego ograniczenia żywnościowe łatwiej było znieść, a dyktatura Vichy była tu łagodniejsza. Antysemityzm, którego we Francji nie było, tutaj się czaił. Koloniści francuscy w Algierze byli zwolennikami oporu przeciwko hitlerowcom, ale dalecy byli od popierania de Gaulle'a; te same nastroje przeważały w armii i w marynarce.

Nic zatem dziwnego, że kiedy admirał Darlan przyłączył się do Sprzymierzonych, został on obwołany nowym przywódcą, i że w dzień po jego zamordowaniu został nim obwołany gen. Giraud dla tych samych przyczyn. Autorytet Girauda jednak nie dorównywał autorytetowi Darlana i trzeba było znaleźć wspólną platformę dla Francji i Algieru. Rozpoczęły się rokowania między Giraudem a de Gaulle'em. W pierwszym stadium zdecydowano się na podział władzy. W drugim stadium Giraud przepadł. Jest on człowiekiem godnym szacunku i szlachetnie myślącym, ale brak mu siły i doświadczenia politycznego. Nie trudno go było pobić przy jego niemal że chorobliwej awersji do polityki. Gen. de Gaulle pozostał na placu zwycięzcą“.

Autor artykułu twierdzi dalej, że mimo pewnych okoliczności, które wywołują niepokój — jego antysemicki i rojalistyczny przeszłość, zamaski dyktatorski, flirt ze Stalinem — gen. de Gaulle jest człowiekiem, który będzie mógł doprowadzić Francję do portu Czwartej, demokratycznej Republiki.

Nie ma trudności, których
nie można przezwyciężyć

Korespondencyjne kursy języka
angielskiego w jęz. polskim dla Was

Specjalnie zorganizowane na podstawie długoletnich doświadczeń

DLA KAŻDEGO UMYŚLU DOSTĘPNE
pod kierownictwem wybitnych fachowców

ZGŁOSZENIA i INFORMACJE osobiste lub pisemne

DO PALESTINE TUTORIAL Co. Ltd.

Jerusalem, Sansur Bldg. G. P.

PALESTINE. Tel. 2500 (635)

Biuro zgłoszeń III p., pok. 241

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Z teki Zygmunta Kowalewskiego

„Polska Walcząca” wydrukowała przed kilkoma miesiącami karykaturę, która obiegła następnie prasę libańską. Rysunek przedstawiał nurka w skafandrze i dwie ryby na dnie Atlantyku. — Co to na nurek? — pyta jedna ryba drugiej.

— To Polak, — odpowiada zapytana.
— Czego on tu szuka?
— Karty Atlantyckiej.

Należy się więc wdzięczność Cordell Hullowi, że przypomniał Kartę Atlantycką w swym przemówieniu radiowym z dn. 9 b. m. Przypomnieniu temu towarzyszyły co prawda pewne zastrzeżenia: Cordell Hull podkreślił, że Karta Atlantycka jest tylko deklaracją ideową i że nie przynosi ona żadnych decyzji w konkretnych sprawach politycznych. W stwierdzeniu takim nie ma nic z nieprawdy, ale jej prawda jest tylko negatywna połowa prawdy. Będąc bowiem deklaracją ideową, bardzo wyraźnie sformułowaną, Karta Atlantycka wyklucza i pewne metody rozwiązywania konfliktów politycznych, i pewne typy tych rozwiązań. Jeśli ma ona mieć jakiś sens, nie można dopuścić do rozwiązywania konfliktów międzynarodowych drogą jednostronnych decyzji silniejszego partnera.

Należy podkreślić, że ustęp przemówienia Cordella Hulla, poświęcony konfliktowi polsko-sowieckiemu, jakkolwiek bardzo ogólny w sformułowaniu, nie ma w sobie niczego, co by się z oświadczeniami Karty Atlantyckiej nie dało pogodzić. Hull stwierdził tu, że 1) należy dążyć do tego, aby konflikt polsko-sowiecki, który jest poważną rysą w jednolitości Sprzymierzonych, został jak najszybciej zażegnany, 2) najwłaściwszym na załatwienie spornych kwestii granicznych w Europie będzie okres po zakończeniu działań wojennych, 3) Stany Zjednoczone w dalszym ciągu podtrzymują swą propozycję mediacji w konflikcie (odrzuconą, jak wiadomo, już raz przez ZSRR). Nie ma w tych stwierdzeniach niczego, co by było sprzeczne z polskim punktem widzenia.

Dwa momenty zasługują w przemówieniu Cordella Hulla na podkreślenie. Ostrzeżenie pod adresem państw neutralnych i określenie polityki Stanów Zjednoczonych wobec Francji i Włoch.

Oświadczenie w sprawie państw neutralnych zawierało mocne akcenty: zapowiadało, że polityka Sprzymierzonych wobec tych państw wchodzi w obecnym momencie w nową fazę, oraz ostrzegało, że chociaż Sprzymierzeni nie domagają się przystąpienia tych państw do wojny, to jednak nie ścierpią takiej ich polityki, w rezultacie której „żołnierze państw sprzymierzonych mieliby stracić życie”. Wiemy do kogo się to odnosi: do Hiszpanii i do Turcji. I wiemy, o co tu idzie: o dostawy surowców wojennych dla Niemców. Hiszpanie dostarczają Niemcom wolframu i baskijskiej rudy żelaznej. Ostatni zaś traktat handlowy niemiecko-turecki przewiduje dostawy tureckie dla Niemców większych ilości chromu. W ciągu ostatniego roku zwiększyły się one blisko trzykrotnie.

Zajęcie takiego stanowiska wobec Turcji oznacza przynajmniej się do pewnego niepowodzenia politycznego: Sprzymierzeni bowiem traktowali dotychczas Turcję jako swego potencjalnego sojusznika. Z Hiszpanią ma się rzecz inaczej. Nikt nigdy w obozie Sprzymierzonych nie traktował gen. Franco jako możliwego sojusznika. W lutym prasa brytyjska ostro atakowała go za udzielanie Niemcom mniej lub bardziej jawnej pomocy. Niektóre pisma szły nawet tak daleko, że wysuwały koncepcje ogłoszenia na emigracji nowego prosojuszniczego rządu hiszpańskiego z Negrinem na czele. Eden oświadczył wtedy w Izbie Gmin, że toczą się na temat granic neutralności hiszpańskiej rokowania z rządem gen. Franco i że w pewnych kwestiach — np. w sprawie zwrotu rządowi marsz. Badoglio zarekwirowanych statków włoskich — osiągnięto już porozumienie. Mowa Hulla oznacza, że w innych sprawach porozumienia tego jeszcze nie osiągnięto.

W sprawach europejskich oświadczenie Hulla nie przyniosło żadnych zasadniczo nowych elementów, któreby zmieniły czy precyzowały dotychczasową linię polityki europejskiej państw anglosaskich. Państwa te wiedzą bardzo dokładnie, czego nie chciałyby w Europie. Zdecydowanie nie chcą żadnych reżimów faszystowskich, mądre — po szkodzi — że reżimy te stanowią stałą groźbę wojny i że pozostawienie ich uniemożliwiałoby wszelką bliższą współpracę międzynarodową po wojnie. Mowa Hulla przyniosła tu jeszcze jedno, bardzo wyraźne, oświadczenie. Niewątpliwie też państwa anglosaskie za klęskę uważałyby ogarnięcie Europy przez falę rewolucji komunistycznej.

Jeśli jednak od tych czynników negatywnych chcemy przejść do momentów pozytywnych, ogarnia nas morze niepewności. Jaki Sprzymierzeni mają plan struktury politycznej Europy? Na jakich siłach chcą się oprzeć? Jakże są ich plany polityczne wobec Niemiec? Jaki stosunek do projektów federacyjnych? Jaką rolę wyznaczają Francji? Jak sobie wyobrażają gospodarczą organizację Europy?

Na żadne z tych pytań nie można dziś dać odpowiedzi. Zdaje się, że żaden konkretny plan jeszcze tutaj nie dojrzał. W tych warunkach zasada strategii politycznej może być tylko jedna: nie wiązać sobie żadnymi decyzjami przedwczesnie ręk. Dlatego Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zwlekają z uznaniem rządu Badoglio i dlatego uznanie Francuskiego Komitetu Narodowego przez Stany Zjednoczone przyszło późno i z ważnym zastrzeżeniem: Stany Zjednoczone nie uważają, aby z chwilą gdy Francja zostanie wy-

wolona, Komitet Francuski mógł się automa-tycznie stać rządem francuskim.

Kwestię uznania Komitetu Francuskiego komplikowały jeszcze sprawy personalne. Jak wiadomo, człowiekiem zaufania Amerykanów był gen. Giraud. Po zabójstwie Darlana Giraud dysponował w Algierze pełnią władzy. Potem doszło — po długich targach i pertraktacjach — do kompromisu z de Gaulle'em i do dwógłowych rządów Komitetem. Giraud stopniowo tracił wpływy polityczne i teraz został ostatecznie przez de Gaulle'a wymanewrowany z Komitetu. Ofiarowanie mu stanowiska generalnego inspektora armii jest równoznaczne z propozycją honorowej emerytury. Trudno mu się dziwić, że jej nie przyjął. W związku z tym pojawiły się też pogłoski, że jest rzeczą możliwą, iż zostanie nominację w sztabie gen. Eisenhowera. Jeden tylko mógłby być sens takiej nominacji: z chwilą oswożenia Francji Giraud zająłby z ramienia Amerykanów jakieś czołowe stanowisko w administracji wojskowej kraju. Trudno jednak przypuścić, aby w tym charakterze, działając z ramienia obcego państwa, mógł stanowić jakąś poważniejszą przeciwwagę dla de Gaulle'a. Jego rolę polityczną należy uznać raczej za skończoną.

Bardzo charakterystyczne stanowisko zajęli w związku z konfliktem komunistycznej członkowie Komitetu, Grenier i Billoux. Wydali oni oświadczenie, w którym właściwie dezawuowali de Gaulle'a; oświadczyli — jak donosi komunikat United Press — że głosowali za zniesieniem stanowiska naczelnego wodza, bo myśleli, iż de Gaulle uzyskał na to uprzednią zgodę Girauda, oraz iż są przeciwni rozbudzeniu w chwili obecnej wszelkich konfliktów wewnętrznych w łonie Komitetu. Równocześnie przywódca komunistów włoskich Erocole wypowiedział się przeciw akcji włoskich stronnictw demokratycznych, mającej na celu zmuszenie króla do abdykacji. Postępowanie Erocolego mażna tłumaczyć także rozgrywką z Crocem, którego bardzo niechętnie i nieufnie stanowisko wobec zarówno partii komunistycznych, jak i wobec ZSRR jest powszechnie znane. Jeśli jednak oba te oświadczenia powiąże się z zadziwiającymi w swej kompromisowości i w odęgnięciu się od wszelkich tendencji rewolucyjnych deklaracjami sprzed kilku tygodni amerykańskich przywódców komunistycznych, — nowa strategia polityczna partii komunistycznych w świecie zarysowuje się bardzo wyraźnie. Rosjanom, z chwilą gdy wkraczą do Europy, należy na deklarowaniu, że gotowi są do współpracy z wszystkimi chętnymi, że nie mają żadnych partyjnych przesądów. „Kaźda partia dobra, byle dojdzie do rządów”.

W sytuacji wojskowej ostatnie dwa tygodnie nie przyniosły żadnych większych zmian. Niemcy zawzięcie i, jak dotychczas, skutecznie bronią bolszewikom dostępu do Lwowa, chociaż lekko oddali Odessę, którą przecięli w październiku 1941 r. zdobyli dopiero po dwumiesięcznym oblężeniu. Oddanie Odessy przypieczętowało też los Krymu. Można się zato założyć, że Niemcy użyją wszelkich sił, jakie mają do dyspozycji, aby bronić Gałacz, którego zdobycie otworzyłoby bolszewikom drogę na Bukareszt i na Ploeszti.

W kampanii włoskiej pierwsza połowa kwietnia nie przyniosła żadnych zmian, zato w prasie brytyjskiej i amerykańskiej toczą się żywe dyskusje na temat oceny sensowności tej kampanii. Są zdania — podziela je m. in. znany teoretyk wojskowy, gen. Fuller, — że trzeba kampanię tę uznać za poprostu za nieudaną, tak jak w zeszłym wojnie np. operację pod Gallipoli. Są też zdania, że kampania ta spełnia swą rolę już przez to, że wiąże dwadzieścia pięć dywizji, których Niemcy mogliby użyć gdzie indziej. Aby jednak móc ocenić wartość takiej argumentacji, trzeba by przedtem wiedzieć, jakim kosztem odbywa się to wiązanie sił niemieckich. Niewątpliwym plusem kampanii włoskiej jest posiadanie przez Sprzymierzonych baz lotniczych w południowych Włoszech. Umożliwiły one bombardowanie celów austriackich, skąd inąd trudno dostępnym. Rosjanom w ich kampanii rumuńskiej lotnictwo to oddaje olbrzymie usługi. Bombardowanie Budapesztu, Bukaresztu i Ploeszti równa się niemal bezpośredniemu współdziałaniu w tej kampanii. Jest to pomoc dla Rosjan tym cenniejsza, że nie dysponują oni silniejszym lotnictwem bombowym (inaczej trudno by zrozumieć, dlaczego nie bombardują dziś systematycznie Ploeszti, które ma przecież tak podstawowe znaczenie dla niemieckiego potencjału wojennego).

Równocześnie ofensywa powietrzna Sprzymierzonych z dnia na dzień wzmacnia się i obejmuje coraz to nowsze i coraz to dalej położone tereny. Przygotowuje ona inwazję Sprzymierzonych dwójako: osłabiając potencjał wojenny Niemiec i niszcząc w codziennych walkach powietrznych niemieckie lotnictwo myśliwskie, które ma być jedną z głównych niemieckich broni obronnych, z chwilą gdy przyjdzie inwazja na kontynent europejski.

Ia zdaje się, że przyjdzie już niedługo. Mniejsza o to, że znowu mnożą się pogłoski, iż przygotowania do niej są zakończone, czy na ukończeniu, że już, już, lada dzień można się jej spodziewać. Prognozy takie należą do stałego arsenału wojny nerwów: mają one nużyć Niemców i trzymać ich w stałym napięciu. Ważniejsze jest co innego: oto z jednej strony potencjał wojenny państw anglosaskich osiągnął już pewne maximum, z drugiej — inwazja taka właśnie teraz jest tym państwom gwałtownie potrzebna, jeśli chcą one zachować nieodwołną dla trwałego pokoju w świecie równowagę polityczną. W ocenie możliwości tej inwazji w sposób bardzo ciekawy odbiegają od siebie opinie brytyjskie i amerykańskie. Pierwsze twierdzą, że inwazja jest zadaniem bardzo trudnym, które będzie wymagało wielkich ofiar, drugie, — że inwazja ta będzie przy obecnej przewadze Sprzymierzonych w sprzeczce wojennym wyczynem stosunkowo łatwym, który nie powinien przynieść wielkich strat w ludziach. Wolno uważać, że dwie te oceny, to nie tyle zasadniczo sprzeczne opinie, ile różnica stylów dwóch propagand. Jedno jest pewne: trudna czy łatwa, krwawa czy bez ofiar, inwazja ta będzie zwrotnym punktem i w wojskowej, i w politycznej historii tej wojny. Miejmy nadzieję, że wraz z potężnym ładunkiem sprzętu wojennego Sprzymierzeni nie zapomną zabrać ze sobą na kontynent europejski — Karty Atlantyckiej.

ww.



GRACZ

KRONIKA POLSKA

— Ministerstwo W.R. i O.P. wydało w Jerolimie Juliusza Balickiego i Stanisława Maykowskiego „Wypisy z literatury polskiej”. Tom pierwszy. Od początków piśmiennictwa do Powstania Listopadowego, Juliusza Kleimera i Aleksandra Brücknera „Zarys dziejów literatury polskiej i języka polskiego” oraz Zenona Alexandrowicza „Materiały do literatury polskiej. Książkę pomocniczą dla I klasy liceów ogólnokształcących.” W sumie trzy te książki składają się na najlepszy i najnowocześniejszy podręcznik starszej literatury polskiej.

— Wydział Prac Kulturalno-Oświatowych Ministerstwa Obrony Narodowej w Londynie rozpoczął wydawanie „Biblioteczki Wychowawczej”. Jako tomik pierwszy wydano broszurę p. t. „Dowódca i podwładny”.

— W Londynie wyszły w przekładzie Zofii Ilińskiej „Thirteen Polish Psalms” Aleksandra Janty.

— Nakładem Kolina w Londynie ukazała się z przedmową Kamila Huysmansa książka Adama Pragiera „H. G. Wells o świecie i o Polsce”. Poszczególne rozdziały książki drukowane były w „Wiadomościach Polskich”.

— Karol Zbyszewski wydał w Londynie książkę p. t. „Z Marszałkowskiej na Piccadilly”.

— Nakładem londyńskiego wydawnictwa „Minerwa” ukazał się tom nowel polskich w przekładzie angielskim p. t. „Polish Short Stories”. Obejmuje on nowele Józefa Weyssenhoffa, Piotra Chojnowskiego, Kornela Makuszyńskiego, Stefana Żeromskiego, Feliksa Gwiżdża, Wacława Grubińskiego, Marii Konopnickiej, Włodzimierza Perzyskiego, Kazimierza Tetmajera, Eugeniusza Małaczewskiego, Ferdynanda Goetla, Władysława Reymonta.

— Władysław Wielhorski wydał w Londynie nakładem wydawnictwa „Listy z Londynu” broszurę p. t. „Strefa pięciu mórz. Zagadnienie Europy środkowo-wschodniej”.

— Delegatura P.C.K. na Środkowy Wschód rozpoczęła wydawanie pod redakcją Komisji Naukowej „Koła Lekarzy P.C.K. w Jerolimie” miesięczny biuletyn informacyjny „Postępy Wiedzy Lekarskiej”. Ukazał się pierwszy zeszyt miesięcznika z datą marcową.

— W Glasgow nakładem „Dziennika Żołnierza” ukazał się tom wierszy Ryszarda Kiernowskiego „Zjazd w Nowogródku”.

— Nakładem Wydawnictwa „Przez Wąsy i Morza” w Tel-Avivie ukazały się tomy wierszy: Artura Międzyrzeckiego „Namiot z Kanady” i Stefana Legeżyńskiego „Sydria”.

— Londyński dwumiesięcznik pedagogiczny „The New Era in Home and School” poświęcił swój zeszyt za luty — marzec b. r. omówieniu problemu wychowania w Polsce, Francji i Czechosłowacji. Znajdujemy w nim artykuł prof. Stanisława Kota p. t. „The Social Background of Education in Poland through the Centuries”. Poza tym w niepodpisany artykuł omówiono „Integrating and Desintegrating Forces in Czechoslovakian, French and Polish Education”. Numer powstał jako rezultat konferencji, urządzonej przez cztery angielskie towarzystwa pedagogiczne, która poświęcona była studiom porównawczym nad czechosłowackim, polskim i francuskim systemami wychowania. Konferencja ta odbyła się w Londynie w dniach 29—31 grudnia ub. r.

— Lutowy zeszyt londyńskiego miesięcznika „The Nineteenth Century and After” otwiera obszerny artykuł wstępny redaktora pisma, Voigta, p. t. „Poland”. W poprzednim, styczniowym zeszycie pisma znajdujemy Słowackiego „Grób Agamemnona” w angielskim przekładzie Antoniny Kulskiej.

— Londyński „The Contemporary Review” poświęca w lutowym zeszycie przegląd spraw zagranicznych pióra George’a Glasgow omówieniu konfliktu polsko-sowieckiego.

— Wydział Kulturalno-Oświatowy Delegatury Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w Teheranie wydał dra Józefa Aubera „Ustawodawstwo polskie na emigracji”.

— W Londynie jako osobna broszura ukazał się tekst odczytu, wygłoszonego przez dra Leona Barańskiego na konferencji nauczycielskiej dn. 21 marca b. r. w Londynie „Some Economic Problems of Poland”.

— Nakładem Komisji dla spraw Żydów z Polski przy Agencji Żydowskiej w Palestynie ukazała się w Jerolimie broszura A. Hartgłasa p. t. „Poznaj ten kraj... (do żołnierza polskiego)”. Broszura, ujęta w formę przemówienia do żołnierza polskiego, omawia zagadnienia syjonizmu i Palestyny.

— Składnica Księgarska w Edynburgu wydała Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi”.

— W salonach londyńskich Allied Circle urządzono w lutym wystawę malarzy i rzeźbiarzy polskich. Wzieli w niej udział: Dynaburska, Gotlib, Henelt, Kanelba, Konarska, Koper, Korn, Kossowski, Mars, Michałowska, Mikula, Natanson, Potworowski, Okolowicz, Ruszkowski, Szturm de Sztrem, Topolski, Żulawski i żyw.

NOWOŚĆ!

Książka zbiorowa, wydana staraniem PEN Club Polskiego

WIELKA BRYTANIA

KRAJ — USTRÓJ — KULTURA.

Współautorzy:

S. Baliński, M. Chmielowska, H. Gotlib, W. Grabinski, Z. Grabowski, Z. Hołub, P. Kunciewicz, H. Judd, J. Kunciewicz, M. Kunciewiczowa, J. Leo McGovern, W. Paton, W. Power, C. Poznański, M. Prozor, H. Tenenbaum, T. Terlecki.

Cena 300 milsów.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze mundury drelchowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, białe trykotowe, oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową a także ręcznie haftowane dystynkcje.

GUR-ARIEH

(Właśc. A. Gurman)

TEL-AVIV, ul. ALLENBY 83